

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 21-go października 1944r.

Rok VI. Nr. 42

# PRZYSZŁOŚĆ "PIĄTEJ KOLUMNY"

Organ prasowy Heinricha Himmlera, "Das Schwarze Korps", zapowiedział, że Niemcy nie pogodzą się z przegrana, nie skapitulują, lecz będą walczyć do ostatka, chociażby w oddziałach partyzanckich, względnie w wielkim, niemieckim ruchu podziemnym. Należy z tego wnioskować, że wszystkie przygotowania są już w tym kierunku robione. Próba ta zostanie podjęta. Od stanowczości i sprężystości alianckiej akcji wojskowej oraz od poczynań administracji okupacyjnej w Niemczech zależeć będzie, w jakiej mierze desperackie zamiary narodowego socjalizmu się urzeczywistnią. Jesteśmy ciemni, jak tabaka w rogu, co do polityki okupacyjnej, co do systemu okupacyjnego, jaki wielka aliancka trójka chce stosować w Niemczech. Trudno więc ważyć pro i contra obecnych planów arcyrzemieślnika Himmlera. Raczej jestem pełen najczarniejszych przewidywań, że mogą one w pierwszym stadium okupacji, wystrzchnąć na dudka wielu mędrców z SHAEF'u, z tej instytucji alianckiej, która nie powinna mieć żadnych złudzeń co do gatunku przeciwnika.

Zastanawiając się więc na razie tylko nad instrumentami przyszłej polityki oporu narodowego socjalizmu w podziemiach, pragnęlbym zwrócić uwagę na — mniejszości niemieckie. Możliwość działania członków mniejszości niemieckich w Europie mogą być znacznie swobodniejsze i szersze od możliwości partyzantów nazistowskich w okupowanych przez zwycięzców Niemczech. O ile oczywiście Narody Zjednoczone nie zapomną, że zaraza narodowo-socjalistyczna nie tylko szaleje w Niemczech, ale i poza ich granicami; że kwarantanny wymagają nie tylko Niemcy na dotychczasowym obszarze Rzeszy, ale i Niemcy, legitymujący się paszportami różnych innych państw europejskich.

Mniejszości niemieckie w Estonii, na Łotwie, na Litwie i w Rosji zostały zlikwidowane przez przesiedlenie ich na teren zachodniej Polski, północnej Jugosławii oraz częściowo — w bardzo małym odsetku — na teren Alzacji i Lotaryngii. Niemcy na terenie tak zwanego "Protectoratu", w Polsce, w Luxemburgu oraz częściach Francji, Belgii i Jugosławii, włączonych w obszar *Grossdeutschland*, zostali zrównani w prawach z mieszkańcami właściwej Rzeszy. Minister spraw wewnętrznych Rzeszy wydał szereg rozporządzeń, że Niemcy z tych terenów mają otrzymać odszkodowanie za wszystkie materialne straty, jakie ponieśli ze strony władz państwa, którego dotąd byli obywatelami oraz ze strony swych współobywateli narodowej większości. Prawo do odszkodowania pojęto bardzo szeroko, między innymi podciągnięto na przykład pod nie straty, wynikające w przeszłości ze spadku waluty danych krajów. W Alzacji i Lotaryngii odszkodowanie objęło okres wstecz aż do 1 stycznia 1926 roku.

Mniejszość niemiecka pozostała w Rumunii, na Węgrzech, w Słowacji, Kroacji, Serbii oraz Danii. Berlin dał jej, jako przedstawicielowi *Herrenvolku*, pełne polityczne poparcie dla wyraźnego uprzywilejowania w stosunku do otaczających ją większości. W szczegółach przywileje prawne niemieckiej grupy narodowej w tych poszczególnych państwach były jednak różne, bo zależne od warunków lo-

kalnych. Wszędzie jednak mniejszość niemiecka otrzymała zupełną autonomię polityczną i stała się osobą prawa publicznego. Wszędzie zostały stworzone organizacje narodowo-socjalistyczne, będące żywą kopią tego, co widzimy w Trzeciej Rzeszy. Mniejszość otrzymała swe własne szkoły, prowadzone według programów, obowiązujących w Niemczech. Pod różnymi nazwami, ale na zasadzie instrukcji S.A., mniejszości niemieckie potworzyły nie tylko własne organizacje paramilitarne, ale i uzbrojone po zęby oddziały samoobrony. W Rumunii jedne z tych oddziałów nazwane zostały *Deutsche Mannschaft*, jako odpowiednik S.A. Odpowiednikiem S.S. Niemców rumuńskich stały się *Einsatzstaffeln*. S.S. Niemców kroackich nazwały się *Heimwacht*. Na Węgrzech działa niemiecki *Heimatschutz*.

Członkowie mniejszości niemieckich w tych krajach zostali zaprzysiężeni na wierność wodzowi Trzeciej Rzeszy — Adolfowi Hitlerowi. W imię zasady pokrewieństwa "krwi" organizacje niemieckie zaczęły oddziaływać nawet na rodziny dawniej niemieckie i już zasymilowane ze środowiskiem narodowej większości. Na skutek tego nastąpił — szczególnie na Węgrzech — proces regermanizacji wielu nazwisk rodzinnych, już zmadziaryzowanych czy zrumunizowanych. Na ulicach miast i osiedli, zamieszkałych przez mniejszość niemiecką, pojawiły się niemieckie napisy. Język niemiecki

został uznany za język urzędowy w urzędach państwowych. Niemcom, obywatelom tych państw, przewróciło się we łbach.

Zasada państwa w państwie została urzeczywistniona w całości. I nie potrzeba szerzej udowadniać, że ten instrument ułatwił polityce Trzeciej Rzeszy utrzymywanie satelitów w posłuchu. Kiedy na przykład na wiosnę 1943 roku rozszła się pogłoska, że Niemcy zamierzają stworzyć w basenie nadunajskim i na Bałkanach jedno wielkie niemieckie państwo nadunajskie, mniejszości niemieckie na tym terenie rozpoczęły propagandę antyrządową nawet w stosunku do najbardziej posłusznych Berlinowi ministrów satelickich, aby odebrać im ochotę do — oporu.

Znaczny jest wkład europejskich mniejszości niemieckich do uzupełnienia stanu liczebnego armii niemieckiej. Kierownictwo Trzeciej Rzeszy, uważając, że ma w członkach niemieckich mniejszości najbardziej fanatyczny element, rekrutowało od chwili wybuchu wojny Niemców z poza Rzeszy przede wszystkim do oddziałów S.S. /*Waffen-S.S.*/. Do frontowych oddziałów S.S. zaczęto ściągać nawet Niemców z krajów satelickich, mimo, że w niektórych z nich — n.p. w Kroacji — tworzono z Niemców osobne, niemieckie oddziały danych armii. Na początek 1944 roku mniejszości niemieckie były w S.S. reprezentowane w następującym — w przybliżeniu — oczywiście składzie:

Z Węgier	—	40.000	Niemców
Z Rumunii	—	60.000	"
Z Słowacji	—	15.000	"
Z Kroacji	—	15.000	"

Jest charakterystyczne, że członkowie mniejszości niemieckiej przez swój udział w S.S. nie tracą swego dawnego obywatelstwa, zatrzymują paszporty: rumuński, węgierski, słowacki i t.d.

Nic dziwnego, że w październiku 1943 Heinrich Himmler uważał za stosowne w czasie odprawy najwyższych przewodców partii narodowo-socjalistycznej podnieść ogromne zasługi mniejszości niemieckich w obecnej wojnie. O tych "zasługach" nie powinni zapomnieć i aliancy mężowie stanu. Wydaje się konieczne podkreślić, że Narody Zjednoczone, przygotowujące listę zbrodniarzy wojennych, powinny myśleć o zbadaniu działalności przewodców mniejszości niemieckich: panów Karmasina ze Słowacji, dr. Franz Bascha z Węgier, Branimira Altgayera z Kroacji, Andreasa Schmidta z Rumunii, dr. Sepp Janko z Serbii i dr. Möllera z Danii.

Bardzo istotną rolę w działalności mniejszości niemieckich na europejskim kontynencie miała także i w czasie wojny *Auslandsorganisation der N.S.D.A.P.*, stanowiąca niejako zagraniczny okręg partii nazistowskiej. Zrzesza ona wszystkich Niemców, obywateli niemieckich, przebywających zagranicą. Członkami jej są ambasadorowie na równi ze swą służbą, pastorki niemieccy, jak

i przedstawiciele firm niemieckich. Jej członkowie dozoruja prace mniejszości niemieckiej w krajach, w których taka mniejszość istnieje. W krajach, w których mniejszości niemieckiej nie ma, oni są jedyną "piątą kolumną", aktywność ich staje się wtedy bardziej bezpośrednia.

Okres obecnej wojny polityka niemiecka na kontynencie zużytkowała dla uzyskania dla obywateli Trzeciej Rzeszy jak największych przywilejów w zakresie prawa dla cudzoziemców. W szczególności kierownictwo Trzeciej Rzeszy zależało na tym, aby polityczna i propagandowa działalność ich obywateli zagranicą była jak najmniej krępowana. Uzyskiwano to, grożąc danemu krajowi najdalej idącymi konsekwencjami politycznymi. Nie na próżno szefostwo *Auslandsorganisation* jest jednym z departamentów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych.

Działalność tej organizacji była w tej wojnie szczególnie zwrócona w kierunku państw neutralnych. W krajach okupowanych bowiem działały normalne organa partii, wśród satelitów zaś działały mniejszości. *Auslandsorganisation* żywo zainteresowała się m.i. w tej wojnie Szwajcarią. Wydawano tam pismo "*Deutsche Zeitung in der Schweiz*", urządzano niezliczoną ilość zjazdów, starano się przytoczyć Szwajcarię propagandą wielkością i ideową spoiwością Rzeszy. Niewątpliwie chodziło także o stworzenie klimatu dla separatystycznego ruchu w niemieckich kantonach Szwajcarii, któremu przewodził Jakob Schaffner, głoszący hasła zspolenia niemieckich Szwajcarów z narodowo-socjalistyczną Rzeszą. Instrumentem jego akcji w Szwajcarii była tak zwana *Nationale Bewegung*. Pozostanie jedną z pięknych kart polityki szwajcarskiej w tej wojnie, że mały ten kraj umiał obronić się przed wszystkimi iredentystycznymi zakusami.

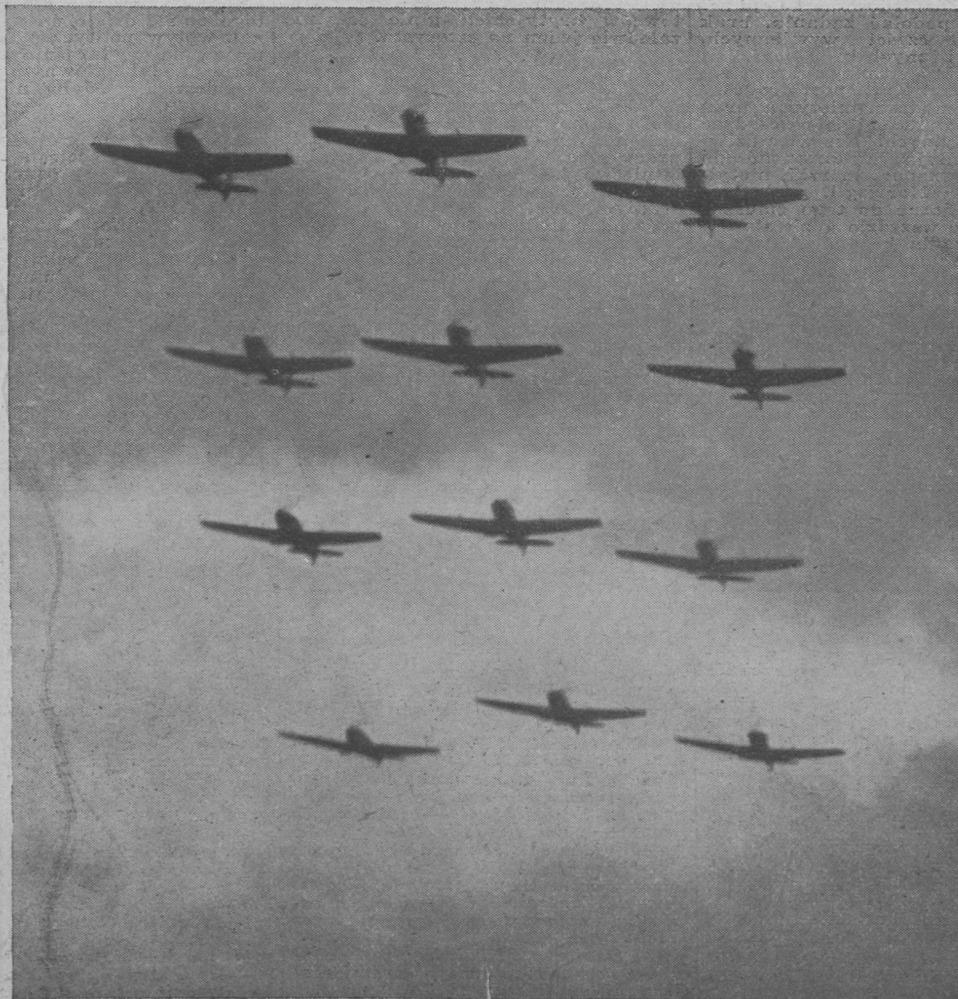
Uwagi moje nie wyczerpują wszystkich przejawów akcji Niemców poza granicami Rzeszy w tej wojnie. Niemniej starczy przykładów dla postawienia szeregu wniosków.

1/ Tak polityka mniejszości niemieckich, jak i aktywność obywateli niemieckich poza granicami Rzeszy w tej wojnie nie miały nic wspólnego z obroną uprawnionych interesów poszczególnych Niemców, członków mniejszości. Działalność Niemców na kontynencie europejskim służyła przede wszystkim imperialistycznej polityce Trzeciej Rzeszy.

2/ Gęsta sieć organizacyjna, jaką narodowy socjalizm oplótł kontynent, grozi pozostawieniem w Europie uwolnionej od bezpośredniego, militarnego niebezpieczeństwa niemieckiego, związków podziemnego ruchu niemieckiego faszystów. Ruch ten może próbować schronić się pod płaszczyk niemieckiego obywatelstwa państwowego i za parawan niemieckiego paszportu.

3/ Zagadnienie przyszłości politycznej Niemiec nie może być rozwiązane bez wzięcia tych faktów pod uwagę. Zależą niemieckiej reakcji trzeba zniszczyć nie tylko w Niemczech samych, ale i poza granicami Niemiec, wszędzie tam, gdzie działali Niemcy według jednolitych instrukcji z nazistowskiego Berlina.

JÓZEF WINIEWICZ



## BITWA JESIENNA NA ZACHODZIE

Bitwa na zachodnim froncie „Festung Deutschland” toczy się dalej bez rozstrzygniętych wyników. Osiągnięta największa natarcie w obszarze Akwizgranu, osaczonego, zmiażdżonego bombami i pociskami, stopniowo zdobywanego przez Amerykanów. Miasto to koronacyjnie szereg „rzymskich cesarzy”, będące tym dla Niemców, czym Kraków dla Polaków, pierwsze z wielkich miast niemieckich osiągnięte przez inwazję, broniące jest zgodnie z zapowiedziami Goebbelsa i Himmlera do upadłego. Zgodnie z ich zapowiedziami gruzy tylko dostaną się zwycięzcom. Ale jest to zarazem zapowiedź losu, czekającego dalsze miasta niemieckie, jeśli będą zamieniane w ośrodki niemieckiego oporu. We wrześniu 1939 roku Niemcy drugo-gali Warszawę, uzasadniając niszczenie miasta tym, że stało się „fortecą” broniącą przez wojska nasze. W maju 1940 r. burzyli bombami Rotterdam z tej już tylko racji, że mogło to złamać ducha Holendrów. W rok później zbombardowali bez wypowiedzenia wojny Belgrad już tylko po to, by się zemścić na Jugosławii za odrzucenie ich dyktatu. Teraz odrzucił się los. „W proch i pył” obraca się Akwizgran, obracają się leżące dalej w tyle ośrodki komunikacji, zaopatrzenia i produkcji wojennej jak Kolonia, Duisburg, Münster. „Wojna totalna” niszczy własnych jej twórców. Na Duisburg padł w jednym dniu większy ciężar bomb niż na Londyn w toku całej wojny. Naród niemiecki staje w obliczu zniszczenia tak całkowitego, że pogroźki jego hitlerowskich wodzów stają się puste. Chcą zniszczenia — będą je mieli. Chcą wystawić ludność cywilną na zagładę — idzie zagłada. Niemieckie „Vernichtungswille” /pragnienie zagłady/, godzi już we własne istnienie Niemiec.

Do bitwy o Akwizgran rzuciły Niemcy swe odwoły pancerne z odsieczą. Odsiecz załamała się przy dotkliwych stratach, zadanych dywizjom pancernym przez lotnictwo i artylerię Sprzymierzonych. Przewaga armii Hodge'a utrzymała się w całej pełni.

Dalej zaś na północ w obszarze Nijmegen na niemiecko-holenderskiej granicy armia Dempsey'a atakuje z kolei nad Mozą. Inicjatywa przeszła tu definitywnie w ręce Brytyjczyków.

Armia kanadyjska walczy dalej zacieple po obu stronach ujścia Skaldy by otworzyć dostęp do Antwerpii, niesłychanie doniosły dla dalszego przebiegu kampanii.

W niedawnym oświadczeniu wódz

naczelny sprzymierzonych silił zbrojnych na Zachodzie, gen. Eisenhower, wyraźnie stwierdził przeciąganie się bitwy i możliwość kampanii zimowej. Zwrócił uwagę na przedłużenie się linii komunikacyjnych, wielkie trudności zaopatrzenia i transportu, zależność od niewielu portów i to odległych — jak dotąd czynny w pełni tylko Cherbourg poza syntetycznym portem u plaż normandzkich, na ogrom ośrodków potrzebnych do pełnego rozwinięcia posiadanej przewagi w walnej bitwie.

W tym związku staje się jasne, o co walczy armia kanadyjska, a z nią nasza dywizja pancerna i dla czego Niemcy zostawili znaczne siły na przepad w tym kącie Holandii i w różnych, dawno już odciętych portach francuskich. Jeszcze sto tysięcy Niemców zginie lub pójdzie do niewoli, ale przez to przedłuża się wojna.

Na co liczą, przedłużając ją, niebardzo jest jasne, skoro „tajemnicze bronie” czy „odwetowe”, nawet w ich propagandzie tracą na znaczeniu, skoro odwoły ze wszystkich stron ściąganie uwikłane są w ciężkich walkach, a nowe formacje z „hypertotalnej mobilizacji” — chłopy, starzy, cherlaki — pod dumną nazwą „Volksgründere” już paczkami idą w ogień jako prawdziwe mięso armatnie. Jeszcze może trochę liczą, że jak w końcu wojny siedmioletniej ze starożytności koalicja się rozprzęgnie i Rosja poróżni się i rozstanie z zachodnimi sprzymierzeńcami. Jednakże propaganda ich ostrzega raczej przed podobnymi złudzeniami. Są one zresztą zbyt wyraźnie przekreślone przez wypadki ostatniego tygodnia na Wschodzie Europy.

## WIELKIE WYDARZENIA NA POŁUDNIOWYM WSCHODZIE

W ciągu ostatnich miesięcy rozmach ofensywy Sprzymierzonych na Zachodzie zdawał się określać bieg wojny. Zarazem jednak otwarł się w zalewanej od zachodu „Festung Europa” nowy wyłom na południowym wschodzie przez odpadnięcie od Niemiec Rumunii i za nią Bułgarii, wtargnięcie wojsk sowieckich do Węgier i na Bałkany. Otworzyła się ta sama brama, którą wkroczyło w 1918 roku zwycięstwo koalicji nad państwami centralnymi. Rezultaty były do przewidzenia.

Grecję, śpiesznie ewakuowaną przez Niemców, oswabdzają własne

jej wojska powstańcze przy potężnym wsparciu brytyjskim z morza i z powietrza. Ateny wolne. Po Parryżu i Brukseli trzecia z ujarzmionych stolic odzyskuje swoje prawa. Żywo staje nam w pamięci bohaterstwo Grecji okazane w walce z najeźdźcą w 1940 roku, mężna postawa wobec walczącej się na nią potwornej przemoc niemieckiej, późniejszy opór stawiany okupantom i cierpienia, podobne cierpieniom Polski. Poznaliśmy Grecję walczącą, życzymy szczęścia i rozkwitu wyzwolonej.

Rosjanie wraz z wojskami powstańczymi jugosłowiańskimi dotarli do Belgradu, o który jeszcze toczy się walka. Oswobodzenie Jugosławii od okupacji niemieckiej postępuje szybko. Jej premier, ban Chorwacji Subatic, udał się do marszałka Tito celem porozumienia się co do przejęcia władzy w stolicy przez prawy rząd.

Wojska sowieckie wzięły Cluj, stolicę Siedmiogrodu. Posuwają się naprzód na terytorium węgierskim, sforsowały Cisę. Pod Debreczmem toczy się wielka bitwa z masowym użyciem czołgów. Rosjanie są już o kilkadziesiąt kilometrów od Budapesztu. Regent Horthy wystąpił do Sprzymierzonych o zawieszenie broni. Ale Niemcy odpowiedzieli na to opanowaniem Budapesztu, likwidacją rządu węgierskiego, oddaniem władzy w ręce oddanej im grupy faszystowskiej Salaszy'ego. Węgrzy biją się o Budapeszt z Niemcami.

W chwili tej, gdy decydują się losy Węgier, my żołnierze myślimy nie tyle o błędnej ich polityce, która ich sprzegła z naszym odwiecznym wrogiem i doprowadziła do przepadku, ile o przyjaźni i sercu, okazywanym nam stale w nieszcześciu wbrew tej polityce i interesom chwili, o serdecznej gościnie doznanej przez tysiące Polaków na ich ziemi, zyczliwości, okazywanej naszym rodakom przez ich wojska na ziemi polskiej.

Z odpadnięciem Węgier tracą Niemcy ostatniego pozostałego im sojusznika, co jest przypięczeniem politycznym katastrofy ich systemu europejskiego „Neuordnung”. Pod względem strategicznym może to oznaczać raptowne przesunięcie się wojny prawie do bram Wiednia, aż do bramy Preszburkiej między Karpatami i Alpami; konieczność stworzenia na nowo improwizowanego frontu od Tyrolu gdzieś po Tatrach. Czy zdolają w ogóle front taki otworzyć, zależy od tego, w jakiej mierze

zdąży wycofać swe siły uwiązane w południowej Europie, w jakich stanach liczebnych, o ile zdolne do bezpośredniego wznowienia walki.

Zdaje się, że wydarzenia nad Dunajem przesądziły losy kampanii włoskiej. Kesselring zbyt długo wgrzywał na czasie. Teraz nie ma chwili do stracenia, jeśli ma zdążyć z odwrotem.

## WYDARZENIA NA PÓŁNOCNYM WSCHODZIE

Również na północnym skrzydle frontu wschodniego tydzień ostatni przyniósł ważne wypadki. Wojska sowieckie wzięły Rygę. Pod Połagą i w obszarze Kłajpedy dotarły do Bałtyku, odcinając raz jeszcze wojska niemieckie w Kurlandii od Prus Wschodnich. Nie zdaje się jednak, by były to znaczne siły. Dwie armie niemieckie w krajach bałtyckich zdołały się bodaj wycofać szczęśliwie, częścią przez Kurlandię na Kłajpedę, częścią przez morze. Są zapewne zebrane dziś w Prusach Wschodnich.

Na dalekiej północy wzięli Rosjanie natarciem kombinowanym wojska i marynarki port fiński Petsamo nad Oceanem Lodowatym. Zagroza to poważnie sytuacji armii niemieckiej w północnej Finlandii, armii już może zaprzeczającej. Były to nowy sukces strategii „kaprała Schickelgruber”, którą Churchill nazwał niedawno cennym sojusznikiem Sprzymierzonych.

## ORGANIZACJA POKOJU

Gdy tak dojrzejwią szybko nowe wielkie rozstrzygnięcia, prasa całego świata dyskutuje propozycje konferencji przedstawicieli czterech mocarstw, odbytej w Dumbarton Oaks, w sprawie organizacji powojennego świata.

Ma to być coś pośredniego między wilsonowską Ligą Narodów, utworzoną po tamtej wojnie, a stworzoną po wojnach napoleońskich Świątynią Przymierzeń, mającym strzec ustalonego na kongresie wiedeńskim stanu rzeczy. Ma być zespół Zjednoczonych Narodów i zgromadzenie ich reprezentantów. Ale prawo decyzji nie należy — jak w Lidze Narodów — do Zgromadzenia. Akcja zmierzająca do utrzymania lub przywrócenia pokoju ma zależeć od decyzji Rady Bezpieczeństwa, do której wejdą cztery mocarstwa: W. Brytania, Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Chiny, oraz w przyszłości Francja. Sześciu innych

członków Rady wybierałyby mniejsze państwa. Otwartą pozostawiono kapitalną kwestię, czy ta Rada może stanowić większością głosów wbrew stanowisku jednego z mocarstw. Sowiety zdają się obstawać przy zasadzie ich jedynomyślności. W tym wypadku represje mogłyby się zwracać tylko przeciw mniejszym państwom. „Prawo silniejszego” pozostałoby nienaruszone. Rada nie mogła by powziąć nawet takich decyzji, o znaczeniu czysto moralnym, na jakie zdobywano się w Genewie.

Projekt z Dumbarton Oaks mniej jednak zaprzęta dziś umysł, niż sprawy polityczne, które stały się problemem stosunku wielkich mocarstw sprzymierzonych do praw i wolności narodów. Wśród nich jako problem „test-case”, wysunęły się na czoło dwie: sprawa nienaruszalności terytorialnej Grecji i Jugosławii oraz bezpieczeństwa Turcji — i sprawa polska.

Co do sprawy greckiej i jugosłowiańskiej szło o to, by zmusić Bułgarię, dziś współwalczącą z Sowietami, do zwrotu zawładniętych terytoriów w Tracji i Macedonii. To osiągnięto. Także i w stosunku do Turcji niepokojące wypowiedzi moskiewskie urwały się, co zdaje się wskazywać na dojsię do porozumienia między mocarstwami co do sprawy Bliskiego Wschodu.

Nie po raz pierwszy w dziejach świata się jednocześnie z losami Bliskiego Wschodu losy Polski. „Kwestia wschodnia” i „kwestia polska” spletały się nieraz w przeszłości.

Odbywają się w tej chwili w Moskwie narady premiera Churchilla z marsz. Stalinem. Wiemy, że idzie o nasze sprawy. Nasz premier zaproszony został do udziału w konferencjach. Dochodzą ich odgłosy.

Gdyby wynikiem ich było porozumienie między Związkiem Sowieckim a nami, oparte na poszanowaniu wzajemnym praw, zgodne z zasadą naszej suwerenności i z naszą godnością narodową, byłoby to nie tylko zbawcze dla Polski, która tyle wycierpiała i tyle poniosła ofiar dla wspólnej sprawy. Byłoby to również pomyślne dla Związku Sowieckiego, który według zapewnień jego wodza potrzebuje Polski wolnej, silnej, przyjaznej. A poza tym ratowałoby to moralną pozycję mocarstw, prowadzących tę wojnę przeciw rozbojowi niemieckiemu po to przecie, ażeby nie siła była przed prawem, ale sprawiedliwość i prawo panowały w stosunkach wzajemnych państw i narodów.

Na wynik narad moskiewskich oczekują z zapartym tchem nie tylko Polacy.

TRIARIUS

## SERIA TAJNYCH BRONI A RZECZYWISTOŚĆ

Jak dotychczas Niemcy uruchomili na lądzie, na morzu i w powietrzu kilka z zapowiadanych tajnych broni. W wojnie morskiej między innymi t. zw. „ostrzygi” (miny uniwersalne — magnetyczne, akustyczne i kontaktowe zatopione), żywe torpedy, brandery motorowe kierowane teleelektrycznie i ręcznie, pułapki minowe pływające (podobno ładunki wybuchowe przywiązane nawet topielcom, licząc, że wybucną wśród ratujących marynarzy alianckich), dalekonośne moździerze itd. Oprócz tego szereg „wyzłazków” powietrznych skierowany był również przeciwko okrętom sprzymierzonym.

A jednak okręty te jakoś sobie poradziły. I ani na chwilę nie udało się Niemcom powstrzymać naszych operacji na La Manche, Atlantyku, Morzach Północnym i Śródziemnym. Choć były to właśnie wody ciasne, przybrzeżne, a w każdym razie ze względu na połączenie geostrategiczne łatwe do obrony z lądu i powietrza.

Natomiast mniej się słyszy o tajnych broniach w ręku Sprzymierzonych, a jeszcze mniej o przeciwdziałaniu niemieckim tajnym broniom. Jedno i drugie jednak istnieje. Okazało się, że wał atlantycki został złamany środkami z jednostek pływających, a samoloty niemieckie już bardzo nie lubią ognia przeciwlotniczego z okrętów. Ogień ten nabrął takich zalet, że wiele atakujących samolotów skazanych jest na zagładę, a pozostałe rzadko kiedy są w stanie przeprowadzić nalot do końca.

Dalecy jesteśmy od lekceważenia tajnych broni Hitlera. Niektóre są jeszcze groźne, a przeciwdziałanie nie zawsze jest skuteczne i nie zawsze może nastąpić w odpowiednim czasie. Ludzka jest ludzka myśląca, że wojna skończy się za dwa tygodnie... spacerem do Berlina. Ale choćby nawet Hitler, w porwie zbrodniczej wściekłości, zbombardował Anglię — ten zakotwiczony na stałe w brzegach Europy lotnikowie — to i tak niewiele mu to pomoże. W tej chwili bowiem zasoby i posiłki na kontynent niekoniecznie muszą iść z wysp brytyjskich. Lotnictwo może już dziać z Francji. A marynarka nie tylko przewiezie to wszystko tam gdzie trzeba, ale potrafi uruchomić swoje bazy operacyjne i taktyczne w takich miejscach, gdzie będą one mniej lub więcej bezpieczne od działań nieprzyjaciela.

Im bardziej kurczy się „cytadela niemiecka”, tym więcej rozszerza się stan posiadania Aliantów, dając im nowe możliwości strategiczne. Wszystko to zaś dzieje się niezaprzeczenie w oparciu o panowanie na

drogach morskich — dzięki tysiącom okrętów wojennych.

## KŁOPOTY TRANSPORTOWE

Podczas gdy wszystkie transporty Sprzymierzonych — morzem czy lądem — poruszają się swobodnie, transport niemiecki przechodzi ciężki kryzys. Bombardowane koleje nie są w stanie podołać zadaniom, brak jest taboru, części wymiennych, a stan torów i innych instalacji, jak mosty, wiadukty i t.p., pogarsza się z każdym dniem. Transport drogowy jest również nadszarpnięty, a przy tym Niemcy zmuszeni są oszczędzać materiałów pędnych. Nic więc dziwnego, że usiłują wykorzystać do maksimum transport morski, nie tylko u brzegów Norwegii, gdzie warunki geograficzne do tego zmuszają, ale w ogóle wszędzie gdzie się da.

Jednak „trafiła kosa na kamień”. Okręty i samoloty Sprzymierzonych tropią i atakują transportowce niemieckie u brzegów Francji, Belgii i Holandii, wokół Jutlandu, na wodach norweskich, włoskich, greckich, a nawet na Bałtyku. Prawie co noc samoloty Sprzymierzonych /w tym i polskie/ stawiają miny przed portami i na szlakach żeglugi nieprzyjaciela. Straty tonażu niemieckiego powiększają się z każdym dniem. A wraz z tym tonie sprzęt i zaopatrzenie, toną surowce strategiczne

i materiały pędne, których Niemcy nie mają wszak za wiele.

Tymczasem admiralacja amerykańska ogłosiła, że od roku 1942 nie zginął na północnym Atlantyku ani jeden amerykański transportowiec z wojskiem, sprzętem czy zaopatrzeniem. A admirał Cunningham stwierdził, że z obrzniętymi ilościami transportowców brytyjskich ginie ostatnio zaledwie jeden na czterysta.

## WSPÓŁPRACA LOTNICTWA Z MARYNARKĄ

Ludzie twierdzą, że lotnictwo może samo rozstrzygać w walkach morskich, nie rozumieją idei współpracy strategicznej. Oczywiście — lotnictwo jest czynnikiem potężnym i w pewnych wypadkach bardzo skutecznym. Ale, pomijając już zależność od pogody, samo przez się nie rozstrzyga strategicznie. Pod Mapatan lotnictwo wypatryło nieprzyjaciela i uszkodziło mu pancernik, ale bitwę stoczyła flota. Nie inaczej było z „Bismarckiem”. A na wodach Pacyfiku, choć miały miejsce wielkie bitwy powietrzne i powietrzno-morskie, to jednak trzeba było floty aby lotnictwo podsunęło w właściwy akwen operacyjny, zapewnić mu bazy i poprzec działaniami morskimi.

W operacjach przybrzeżnych rola marynarki w niczym się nie zmniejsza.

## Wojna na morzu

szła. Lotnictwo zwiększyło tylko jej możliwości. Obie te dziedziny wspierają się wzajemnie. I tak samo obie współpracują strategicznie /a często i operacyjnie/ z wojskiem.

## TRZECIA INWAZJA

Jakkolwiek operacje na kontynencie często przesłaniają laikowi obraz tego co się dzieje na morzu, to jednak wpływ polityczny i strategiczny morza na wydarzenia lądowe pozostaje nadal głównym czynnikiem zwycięstwa. Gdyby nie panowanie na morzu, Niemcy mogliby skoncentrować przeciwko Sprzymierzonym potężne siły na głównym kierunku natarcia. W istocie, niepewni miejsca inwazji, rozproszyli je musieli wzdłuż długich linii brzegowych Europy. To też nigdzie nie byli dostatecznie silni. Dlatego druga inwazja w południowej Francji poszła naprzód z błyskawiczną szybkością i kosztem minimalnych strat. Obecnie zaś ma miejsce trzecia — na wodach greckich, acz w mniejszej skali, jednak niemniej ważna strategicznie i politycznie.

Jeśli dodać do tego „małe inwazje” w ujściu Skaldy /Kanadyjczycy/ oraz w Zatoce Ryskiej /Rosjanie/, to raz jeszcze dowiedziony zostaje przemożny wpływ okrętów na wszystkie operacje lądowe. Tak n.p. zajęcie Korfu, wyspy, którą Napoleon

uważał za klucz do Adriatyku i Dalmacji, zmieniło zupełnie sytuację na zachodnim wybrzeżu półwyspu Bałkańskiego. Zajęcie niektórych wysp Dodekanazu i Archipelagu Greckiego przesądziło w ten sam sposób o wybrzeżu wschodnim. A zajęcie przez Rosjan wysp Dago, Ezel i Moon w Zatoce Ryskiej przesądziło nie tylko o losach Rygi, ale też dało w ręce wojsk sowieckich możliwość opanowania reszty terytorium państw bałtyckich.

Ze nie skończyły się te bałtyckie operacje zupełną klęską Niemców i odcieciem ich od metropolii, zawdzięczają oni znów morzu i marynarce wojennej. — I tak po obu stronach frontu i w najróżnorodniejszych okolicznościach, Marynarka dowodzi, że nikt bez niej obejmie się nie może.

## WOJNA PODWODNA

Sfery oficjalne W. Brytanii i Ameryki przestrzegają przed nowym nawrotem wojny podwodnej. Niemcy uruchomili nowe okręty podwodne, wyposażone w szereg nowych środków taktycznych, a między innymi w możliwość ładowania akumulatorów i wentylowania okrętu w czasie płytkiego zanurzenia. Dotychczas okręty podwodne musiały czynić to na powierzchni, co oczywiście ułatwiało ich wykrywanie. Mimo to straty Sprzymierzonych we wrześniu utrzymały się na poziomie majowym /najniższym od początku wojny/, a ilość zniszczonych okrętów podwodnych ponownie wzrosła. Dodać możemy, że O.R.P. „Garland” wykrył i zatopił jednego z tych korsarzy na Morzu Egejskim.

## O.R.P. „CONRAD”

W dniu 4 października podniesiono polską banderę wojenną na nowym korałowniku — O.R.P. „Conrad” — tak nazwanym gwoli uczczenia pamięci polskiego pisarza, który jako brytyjski marynarz stanął u ognia kul kulturalnych i morskich między obydwojma krajami.

Jego pełne nazwisko brzmiało: Józef Konrad Korzeniowski; należał on do rzędu najpoczytniejszych pisarzy współczesnych. Pisał po angielsku, przeważnie powieści na tematy morskie. Książki swoje podpisywał: Joseph Conrad.

O.R.P. „Conrad” jest dawnym brytyjskim korałownikiem lekkim „Danae”. Wypiera około 5000 ton i posiada uzbrojenie główne złożone z dział 150 m/m.

Na uroczystości podniesienia bandery obecni byli przedstawiciele marynarek brytyjskiej i polskiej. Nastrój panował bardzo serdeczny i koleżeński.

JULIAN GINSBERT

## Z tygodnia na tydzień

9 października: Premier Churchill, min. Eden i marsz. Sir Alan Brooke przybyli do Moskwy dla narad z marsz. Stalinem.

—Ogłoszono szczegółowy dział Armii Krajowej na obszarze krakowsko-śląskim pod koniec września b.r.

—Ogłoszono oficjalny komunikat o wynikach konferencji czterech mocarstw w Dumbarton Oaks na temat organizacji bezpieczeństwa świata.

10 października: Ogłoszono, że wojska brytyjskie zajęły Korynt w dniu 8 b.m.

—Wojska sowieckie zajęły Połagę, odcinając wojska niemieckie na Lotwie i w części Litwy.

11 października: Ogłoszono, że wojska sowieckie zajęły Transylwanię Cluj i na Węgrzech Szeged oraz, że posunęły się ku Prusom Wschodnim w rejonie m. Szaki i zajęły Tawrog na Litwie. Walki toczą się w okolicach m. Różan nad Narwią.

—Prezydent Roosevelt przyjął

przedstawicieli Polonii Amerykańskiej, wobec których złożył oświadczenie na temat Polski.

12 października: Premier Mikołajczyk, prezes Rady Narodowej Grabski i min. Romer przybyli do Moskwy, celem wzięcia udziału w rozmowach Churchill-Stalin.

—Walki toczą się na ulicach Akwizgranu.

—Prezydent R.P. dekorował sześciu oficerów brytyjskiej Marynarki Wojennej orderem Polonia Restituta.

13 października: Wojska greckie, brytyjskie i — jak podała prasa — polskie zajęły Ateny.

—Wojska sowieckie zajęły Rygę.

—Niemcy ogłosili, że artyleria sowiecka ostrzeliwała pozycje niemieckie w Warszawie i że piechota sowiecka rozpoczęła natarcie poprzec Wistę.

—Premier Mikołajczyk odbył w Moskwie rozmowy z premierem Churchillem i marsz. Stalinem.

14 października: Za dnia

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

# O kampanii wrześniowej

B.D.I.C

W październiku minęła rocznica końca kampanii wrześniowej — dlatego w październiku, że 6 go października 1939 oddziały regularnej armii polskiej pod dowództwem s.p. gen Fr. Kleeberga stoczyły pod Kockiem ostatnią większą bitwę i przerwały ją jedynie z powodu zupełnego braku amunicji. Miejsce oddziałów regularnych zajęły po pewnym czasie utworzone w podziemiu oddziały Armii Krajowej, które podjęły walkę, prowadzoną w warunkach o wiele trudniejszych. Jej momentem szczytowym było powstanie w Warszawie, trwające dwa pełne miesiące.

W ten sposób, w naszej wojnie z Niemcami kampania wrześniowa stała się jedynie większym epizodem — epizodem tragicznym, który wywołał przy każdej okazji liczne i różne myśli.

W imię bezstronności należy stwierdzić, że pierwsze reakcje zarówno polskie jak i obserwatorów obcych były przede wszystkim uczuciowe, krótkowzroczne i przeważnie wybitnie niesprawiedliwe. Nawet krytyka fachowa nie wykazywała większego zrozumienia potęgi niemieckiego *Blitzkriegu*, będącego funkcją czołgu i samolotu, jak i tego, że słabo uzbrojona armia polska nie mogła stawić czoła niemieckiej przewadze materialnej i liczebnej.

W krytyce tej nie chciano brać pod uwagę, że armia polska walczyła samotnie z ośmiokrotną a pod koniec z kilkudziesięciokrotną przewagą lotnictwa, z dziesięciokrotną a później ze stokrotną przewagą broni pancernych, z trzykrotną a później bodaj dziesięciokrotną przewagą artylerii i od 17-go września z pięciokrotną przewagą ogólną, zadając wrogowi ciężkie straty, większe aniżeli poniósł on w 8 miesięcy później na froncie zachodnim.

Nie bardzo rozumiano, że sam los kampanii został przesądzony na stołach konferencji w Mo-

nachium, która zapewniła Niemcom strategiczne okrazenie Polski a następnie w Moskwie, gdzie strategia niemiecka pozbyła się koszmaru wojny na dwóch frontach, a przede wszystkim wojny z Rosją.

Również nie zdawano sobie sprawy, że na skutek uprzedzenia przez Zachód wobec Niemiec daleko idącej polityki "uspakajania" i nacisków na Polskę, aby odrzuciła mobilizację, większość wielkich jednostek polskich weszła do akcji, mając zaledwie 50-60% etatowego stanu.

Dopiero po kampanii we Francji otworzyły się nieco oczy. Tam mimo, że 135 dywizji niemieckich miało przed sobą około 130 dywizji anglo-francuskich, bez porównania lepiej uzbrojonych aniżeli dywizje polskie oraz mityczną "Linie Maginota" — kampania trwała tak samo krótko jak w Polsce. Sukces niemieckiego *Blitzkriegu* był ponownie przytłaczający mimo, że nasi sojusznicy mieli osiem miesięcy cennego czasu na przygotowanie się i mimo, że wejście Włoch do wojny nie miało tak rozstrzygającego znaczenia jak wkroczenie wojsk sowieckich do Polski.

Pierwsze uderzenie niemieckie, zakończone Dunkierką, likwiduje w ciągu 5 dni całą armię holenderską i zmusza po 18 dniach całą armię belgijską do złożenia broni oraz niweczy zupełnie 29 dywizji francuskich.

Druga faza kampanii we Francji była już raczej dobieciem powalnego przeciwnika. W Polsce, jak stwierdza niemiecka literatura wojskowa, opór zdziękowanych oddziałów polskich w drugiej fazie był twardszy, bardziej czynny i zręczniejszy, niż w pierwszej fazie. Na ten właśnie okres przypadają najefektowniejsze sukcesy oręża polskiego, jak rozbięcie niemieckiej grupy pancernych pod Brzuchowicami przez resztki armii generała Sosnkowskiego, sukces brygady motorowej Maczka pod Lwowem, odrzucenie niemieckich jednostek pancernych pod Saninem i Sciborem przez 33 i 41 dywizje piechoty, przerwanie się grupy kawalerii Andersa przez front i gąszcz odwodowych jednostek niemieckich, bohaterska obrona Warszawy i Helu, a przede wszystkim ostatnie walki prowadzone w warunkach zupełnie beznadziejnych, jak walki s.p. gen. Kleeberga, będące zakończeniem kampanii.

I dopiero po kampanii we Francji, gdy po raz drugi mocno wykruszone resztki polskich sił zbrojnych i niedobitki emigracji znalazły schronienie na gościnnej ziemi brytyjskiej — stanowisko w stosunku do kampanii wrześniowej zaczęło powoli ulegać zmianie. Zaczęto rozumieć jej znaczenie jako wkład wojenny Polski do drugiej wojny światowej. Zaczęto podkreślać, że

mimo iż armia polska musiała ulec kolosalnej przewadze liczebnej i materialnej wroga, zadała mu ona poważne straty, które zmusiły go do leczenia ran przez szereg miesięcy. Zaczęto też w pełni rozumieć i doceniać znaczenie przewagi materialnej i liczebnej dla uzyskania zwycięstwa.

Znaczenie to wykazała później kampania w Rosji, w czasie której zgasało wiele gwiazd na firmamencie marszałków i generałów niemieckich oraz wreszcie *super Blitzkrieg* Sprzymierzonych w Normandii. Przecież w Normandii armia niemiecka wyposażona w sprzęt najbardziej nowoczesny i zaprawiona w ciągu tylu lat w ciężkich walkach, doznała klęski z rąk Sprzymierzonych — a w tym i polskich — na skutek tego, że Sprzymierzeni mają przewagę materialną. Napięcie dramatyczne tej klęski przewyższa klęskę kampanii wrześniowej.

W świetle tych faktów i rozważań kampania wrześniowa — mimo błędów kierownictwa wojskowego a jeszcze liczniejszych błędów kierownictwa politycznego, wykazała nieśmiertelne zalety polskiego szeregowca oraz /ze względów, demagogicznych tak często pomijanego... / oficera — braci z krwi i kości tych samych szeregowych i oficerów, którzy, czy to z naszymi "Poland" na rękawach, czy wreszcie w marynarce cywilnej

wśród dymiących zgłiszcz Warszawy — ani przez chwilę nie wypuścił broni ze swoich już mocno utrudzonych rąk.

Przeżywana przez nas ostatnia rocznica walk wrześniowych budzi w nas prócz wspomnień przeszłości również i wiele innych myśli. Jakże inaczej wyobrażali sobie tę rocznicę ci, którzy od samego początku wojny, mimo, że kolejne klęski w ciągu tylu lat wojny uderzały w nich, jak obuchem — nie stracili jednak wiary w ostateczne zwycięstwo Sprawy. Obecnie, gdy dla wszystkich narodów Europy świta już coraz wyraźniej jutrzenna pełnego zwycięstwa i wyzwolenia, widokrąg nasz zaciągnięty jest przez gęste chmury a nade wszystko przez bijące w niebo dymy płonącej Warszawy... Rozwijały się marzenia wielu — marzenia, które stały się rzeczywistością dla naszych francuskich i belgijskich sprzymierzeńców — o triumfalnym powrocie do ukwieconej i oszałamianej radości Warszawy i innych miast rodzinnych. Na razie możemy się pocieszać tym, że walki w Warszawie, które wywołały podziw całego świata dla jej bohaterskich obrońców, związały siły co najmniej 5 dywizji niemieckich, stając się w ten sposób jeszcze jednym wkładem polskim do wojny.

Miejmy nadzieję, że wkład ten — podobnie jak i wkład armii polskiej w czasie kampanii wrześniowej, jak walki polskich lotników i marynarzy, jak wyczyny polskie pod Tobrukiem i Gazalą i wspaniałe zwycięstwa we Włoszech oraz ostatnio ujawniona działalność Polaków w ramach francuskiego ruchu podziemnego — mieć będą wpływ na wywołanie wojny i powojennej Europy i powojennej Polski.

Na ziemi mogił wygasły ognie,  
Słychać w ciemnościach syk węży.  
Cięży nam Panie ręka Twa, cięży,  
Lecz nas nie zlamie, nie pognie.

Gdy przyjdzie pora,  
Jutro, jak wczora  
Proch na proch weźmiem, glinę na ołów,  
Pożary wstaną z popiołów.

KORNEL UJEJSKI

EUGENIUSZ HINTERHOFF

## W hotelu Danube

Kiedy w ostatniej dekadzie września roku 1939 generał Sikorski przybył do Paryża, zatrzymał się, jak miał zwyczaj, w małym hoteliku na lewym brzegu Sekwany, blisko od Faubourg St. Germain. Hotelik był to tego typu, jaki odpowiadał przybyłym z prowincji znanym ludziom: skromny, tani i zaciszny. Nazywał się *Hôtel du Danube* — Hotel Dunajski. Właściciel znał Generała od lat i na pewno miałby zaufanie, gdyby okoliczności zmusiły do korzystania z kredytu. Z tym trzeba się było poważnie liczyć, gdyż żadnych zasobów pieniężnych Generał nie posiadał. Kilka cudzoziemskich banknotów w paszportcie /przedawnionym/; na granicy rumuńskiej tylko drobna pożyczka w lejach pozwoliła Generałowi zapłacić za jego i nasze śniadanie. Wygodził mu tą pożyczką kochany gen. Faury.

W Paryżu nie było jeszcze ludzi, którzy potem stanowili rozmaite zespoły Rządu Generała Sikorskiego; wyjątek stanowił prof. Stanisław Stroński, którego zastaliśmy już na miejscu, łącznie z płk. Franciszkiem Arciszewskim. Reszta nadszła stopniowo, po różnych przygodach w drodze. Prawie codziennie nadjeżdżał ktoś nowy, przywoząc zazwyczaj nowiny o ludziach i zdarzeniach w Rumunii lub na Węgrzech.

O tym, co się działo w kraju, wiedzieliśmy z radia. W małym saloniku hotelowym gromadzili się wieczorem wszyscy mieszkańcy *Danube'a* i zwykle jeszcze jacyś przygodni goście, by wysłuchać miobowych wieści. Aż do końca miesiąca obłędnie Warszawy stanowiło punkt szczytowy zainteresowania. Straszny przegląd wydarzeń odbijał się ponurym cieniem na twarzach słuchających.

Bombardowanie Niemiec ulotkami stanowiło wówczas dla nas wszystkich taką samą zagadkę, jak dzisiejsze zawile objaśnienia niektórych organów prasy, czytanej przez nas codziennie. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, my, ubodzy krewni Sprzymierzonych, z ich możliwością i z różnych niemożliwości. Tym bardziej wzrastało poczucie krzywdy i bezsilności.

Zwłaszcza, że przechodziliśmy wówczas epokę samobiczowania i nadekrytyki. Dopomagano nam do tego z boku. Co chwila padały

zapytania, bolesne nawet wtedy, gdy były całkowicie zycziwe. Cóż można było pozytywnie odpowiedzieć na pytanie, czemu Polska broniła się tak krótko? czemu plan obrony rozciągnął tak szeroko wojsko na granicy zachodniej? czemu epizody obrony wyglądają na łataną robotę poszczególnych dowódców, nie zaś na akcję, kierowaną przez jedną wolę? — Tematu dywersji ze wschodu już wtedy unikano.

Do *Danube'a* przychodziła masa osób, urzędowo i prywatnie; ze swej strony Generał od pierwszego dnia rozpoczął wizyty i konferencje. Bardzo wiele dla przygotowania terenu uczynił wówczas prof. Stroński, dzięki swojej znajomości Francji i licznym tam przyjaciółmi. Jeżeli z jednej strony spotykały nas dowody istotnej i nieklamanej zycziwości, to ze strony czynników oficjalnych widać było nieraz jak gdyby zakłopotanie. Wydawało się, że oficjalna Francja patrzy wstecz i że sięga nie do powstań polskich i Wielkiej Emigracji, ale... Do Kongresu Wiedeńskiego.

Dzisiaj można zdać sobie sprawę, że jeśli przy tworzeniu wojska we Francji doznaliśmy zycziwości i poparcia, to nie od wszystkich. Ci, którzy od początku byli w stosunku do nas tylko poprawni, okazali się po upływie roku i nastaniu klęski francuskiej — kolaborantami. Ci sami odegrali dwuznaczną rolę przy naszym odsłoku na Wyspy Brytyjskie. Na szczęście, byli i inni, prawdziwie oddani wspólnej sprawie i pomni na wkład Polski w chwili pierwszego ataku Niemców na Europę.

Nazwiska w tej chwili nie są ważne; chcemy raczej skreślić ogólny obraz, niż formułować oskarżenia. Ogół francuski, tak pięknie nieszczęściem ojczyzny przywrócony do świadomości narodowej, wówczas drzemał spokojnie za linią Maginota, w przeświadczeniu o swej potędze i o tym, że ta wojna zakończy się bez prawdziwych bombardowań. Sprawdziło się to prawie co do Paryża, w porównaniu z tym, co przesiało i przechodziło Warszawa. Prasę mieliśmy w Paryżu i na prowincji

niezłą, dużo lepszą, niż w tej chwili w krajach anglo-saskich.

Niemcy też przeważnie zrzucali na Paryż ulotki. Dowiedli jeszcze raz, jak słabe mają wyczucie innych narodów. Wszystko, co podbił ich oręż, zmarnowała ich buta i anty-talent propagandowy. Nie tylko w umęczonej Polsce i Serbii, nie tylko w zbrutalizowanej Rosji, ale nawet we Francji, gdzie przecież podobno chcieli być gentlemanami. Nie udało się. Nie potrafili.

Trzeba powiedzieć, że sytuacja utworzonego we Francji Rządu Polskiego stanęła od razu mocno, dzięki osobie generała Sikorskiego, mającego w Paryżu wielką popularność i powagę. Nie małe znaczenie miał fakt, iż Rząd ten odzębnał się kategorycznie od polityki swych poprzedników. W szczególności minister Beck nie był Francji nigdy miły. Natomiast późnie wsparł generała Sikorskiego Ignacy Paderewski. Objęcie przezeń przewodnictwa Rady Narodowej, która miała stać się sejmem emigracyjnym, wywarło jak najlepsze wrażenie.

Polonia paryska i północnofrancuska ustosunkowała się do Rządu od razu pozytywnie. Od chwili wybuchu wojny zresztą zajęła stanowisko szczerze patriotyczne i niezmiernie czynne. Dowodem tego — rekrutacja ochotnicza do tworzonej we Francji jednostki wojskowej, która potem rozrosła się w całą armię. Zarówno emigracja inteligencka, jak robotnicza, nie oszczędziła trudu, pieniędzy i ofiar osobistych. Przeprowadzony następnie pobór potwierdził to całkowicie. Wreszcie

fakt, że po klęsce Francji w roku 1940 i po zwolnieniu do domu Polaków, we Francji stałe zamieszkałych, tylu ich dobrowolnie przybyło do Wielkiej Brytanii, pozwala stwierdzić, iż emigracja polska we Francji podczas tej wojny dobrze zasłużyła się ojczyźnie. Dochodzące nas w tej chwili z kontynentu wiadomości o stanowisku Polaków francuskich podczas okupacji i obecnie jeszcze raz tę zasługę podkreślają.

Obóz w Coëtquidan dał życie "Polsce Walczącej", ale trwała podstawa /materialna/; zyskało pismo przez pomoc rodaków z Francji. Pamiętamy o tym i fakt ten zaznaczano niejednokrotnie na tych łamach.

Trzeba pamiętać, że gdy punkt ciężkości władz państwowych polskich przenosił się do Francji, istniała tam, prócz ambasady i placówek konsularnych, przybyła z Polski misja wojskowa, wyznaczona dla uzgadniania działań wojennych oraz dla czuwania właśnie nad rekrutacją. Stworzenie Sztabu Naczelnego Wodza, a następnie Ministerstwa Spraw Wojskowych, misję tę wkrótce wchłonęło, ponieważ zadania organizacyjne zostały bardzo rozszerzone. Misja, pod kierownictwem gen. Burhard-Bukackiego, położyła podwalinę pod akcję wojskową Polaków we Francji, i dlatego należy jej się wspomnienie. Jednakże znacznie ułatwiła jej działanie energiczna praca różnych organizacji emigracyjnych, pełnych inicjatywy i zapału.

Do *Hôtel Danube* zgłaszali się ciągle przedstawiciele emigracji. Generał bardzo sobie ceniał ich współudział w pracy, i dlatego wprowadził dwóch działaczy emigracyjnych do Rady Narodowej, poza przyjętym „wachlarzem partyjnym”. Nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Generał uznał jednak, że gdy emigracja polska we Francji stanowiła podstawę rekrutacyjną dla wojska, należy jej się reprezentacja w jednym ciele zbiorowym, jakie posiadamy.

Rzecz ciekawa i charakterystyczna, że zagadnienie konstytucji, które tak interesuje dziś obcych, najmniej zajmowało umysły Polaków. Było jasne, że trzeba za-

pewnić ciągłość władzy państwowej; nikt z Sojuszników również tego nie poddawał w wątpliwość. Niewygodne było to tylko dla tych, którzy — jak Mussolini — twierdzili, że "Polska jest zlikwidowana".

Krótko mówiąc położenie ówczesne było takie: Polacy na zachodzie Europy stali w obozie sojuszniczym, jako pełnoprawni przedstawiciele swego narodu; Polacy w Kraju cierpieli za to, że są Polakami, przygotowywali się do akcji walki z najeźdźcą i wkrótce walkę tę podjęli. Skojarzyło się to w czasie z walką Polaków na zachodzie. Ani ideowo, ani formalnie żadnej linii podziału między Polakami nie było. Nikt jej nam nie wmawiał i nikt nas do niej nie namawiał. Cieszone się powszechnie, że jest jeden naród na kontynencie, który nie wydał quislingów.

Dzisiaj położenie w gruncie rzeczy nie uległo zmianie. Zmianie uległy tylko okoliczności zewnętrzne, stwarzające dla nas nową, trudną i nieprzyjazną koniunkturę. Szczytowym jej punktem stała się bitwa o Warszawę, toczona przez nas samych i nie przegrana, skoro jej Niemcy nie wygrali. Bitwa krwawa, bolesna i pouczająca nie tylko dla nas.

Gdy wcześniej wszystko to, co jest kłamstwem, bluffem, oszczerczą kampanią, zelganą propagandą — okaże się że jednosc narodowa Polaków nie uległa przekreśleniu, ani nawet nadwątleniu. Między Polakami mogą być tylko różnice taktyczne. Zaś sprawy zasadnicze, jak wolność, całość i niepodległość — święte hasła kościuszkowskie — nie przestały być świętością dla narodu. Niebawem odpadnie to, co jest obcym nalożeniem, chorobliwą wysypką na osłabionym wojną organizmie, i wówczas świat się przekona, że nie warto podpowiadać nam rzeczy, których nie uczynimy choćby dlatego, iż od czterech pokoleń nikt w Polsce nie uległ obcym, a niezgodnym z interesem narodowym namowom.

Aby o pełną niepodległość walczyć, przyjechał przed pięć laty do Francji generał Sikorski. Te zasady rzucił głośno w oczy światu, gdy podejmował zadanie obrony praw Polski w skromnym *Hôtel du Danube*.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

**HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?**

**ST. JAMES' BALM**  
ANTIVIRUS OINTMENT

**DESTROYS GERMS**  
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT  
Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd  
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

# POLSCY SPADOCHRONIARZE

## ZŁOTY ZNAK SPADOCHRONOWY

Do trzech razy sztuka — pomyślałem sobie wsiadając w dniu 21 września trzeci już dzień z rzędu do tego samego samolotu. Jeżeli i tym razem odłożę start, to chyba dostaniemy kręcka, albo zaczniemy jeść szkło. Ale spokojnie! Nie trzeba ploszyć. Chociaż pogoda jest daleka od "murowanej", wszystko na razie idzie dobrze i kto wie, może naprawdę polecimy.

Moi towarzysze w samolocie podobnie jak i ja przyczaili się i patrzą nieruchomo spod nasuniętych na oczy hełmów, na których pęki kamufażowych kokard i strzępków worka mają imitować zabarwienie holenderskiego krajobrazu. Holandia! Dlaczego właśnie Holandia?

Kiedy przez lata myśli się o czymś, jak w tym wypadku o bojowym skoku na spadochronie i kiedy ma to nareszcie nastąpić, przeżywane fakty zaczynają zatracać ostrość, przeistaczając się chwilami jakby w półsen — półmajaczenie. Po prostu nie chce się wierzyć, że to już ma nastąpić... A jednak to nie jest sen, ani film lub awanturzysta książka, tylko wnętrze naszej zwyczajnej "Dakoty" i perspektywa skoku — tym razem już nie ćwiczebnego. Za taki skok, żołnierz dostaje Złoty Znak Spadochronowy.

"Dakota" drgnęła i jak stateczny autobus powoli ruszyła w kierunku *runway'u*, gdzie już dziesiątki innych poustawiały się w grzeczne trójki.

Oto krótkie zdania pisane koślawym pismem — notatki, które prowadziłem podczas całego przelotu, od chwili startu w Anglii do "action station" koło Arnhem w Holandii.

—Wystartowaliśmy i jesteśmy już w powietrzu. Pod nami kratka pół angielskich i... wiatrak — symbol naszego celu. Przypinamy taśmy spadochronów. Moja klamra za gruba — nie chciała wleźć do karabinka. Lotnik Amerykanin pomógł mi się przypiąć. Mgliście trochę, ale słońce świeci i widoczność nienajgorsza. Boję się o moją maszynę do pisania "Hermes-Baby", aby się nie rozbiła przy lądowaniu. Jest w *kit-bagu*, zapakowana w wióry i koce. Samolotem trochę rzuca. Widzę przez okienko "Dakotę" prawoskrzydłową naszej trójki. Posiada na kadłubie namalowanego psa, który wierzga. Moi towarzysze siedzą milcząc — większość patrzy przez okna.

Przelatujemy ponad naszą bazą... Na pewno tam w dole żyją nam szczęścia, chociaż w podobnych wypadkach powinno się żyć z zła zlamania karku. Zmieniamy kurs o ostry kąt. Słońce z prawej, więc lecimy na wschód. Znowu ustąpiły cumulusy, lekkie przymglenie.

Widać pod nami jakieś miasto. Kapralowi kawa wylała się z manierki i biedak ma mokro w spodniach. Nic nie może na to poradzić, bo jest opakowany kombinezonem i uprząż spadochronu.

—Zdaje się, jesteśmy nad morzem. Świetnie widać sąsiadów. Podwieszona pod samolotami zabobniki i motocykle. Bliższe samoloty ostro i barwnie zarysowują się na mglisto-niebieskawym tle. Właściwie na dole nic nie widać. Śmieszne złudzenie: wydaje się, że samolotem lecącym nieco z tyłu śmigła kręca się powoli jak skrzydła wiatraka. Kark mnie już boli od wykręcania głowy i patrzenia przez okno. Nic ciekawego: teraz w moim polu widzenia pustka, białozłociste mleko i szerokie skrzydło naszego samolotu z białą gwiazdą inwazyjną. A teraz chmury wyglądają jak morze mgieł w Tatrach. W oddali nadęte jasnozłote cumulusy pływają jak góry lodowe w szaro-siwych mgłach. A nad tym seledynowe niebo. Robi się zimno — czuję to w rękach i nogach. Mój sąsiad z prawej zaczyna przeżuwać kanapki zjedzone na lotnisku, więc sięga na wszelki wypadek po specjalną torebkę. Widać stądka myśliwców, które dołączają do nas. Podobno mają być wśród nich Polacy. Mały kucharz siedzący przede mną zwraca mi na to uwagę. Jest trochę przejęty obecnością korespondenta wojennego w samolocie i pragnie, abym

wszystko zanotował. Coraz to zimniej — musimy być dość wysoko. Teraz na seledynowym niebie widnieją przepiękne stratusy o złotym odcieniu.

Humory w samolocie dobre. Ksiądz-kapelan M. żartuje z żołnierzami. Jeden z moich przyjaciół w Brygadzie porównał kiedyś "Dakotę" do żaby. I rzeczywiście kiedy stoi na ziemi jest z pyska do niej podobna. Ale w powietrzu wygląda dość przystojnie, chociaż nieco dziwnie, jakby wybujały w kształtach myśliwiec. Pod nami gęsta wlna chmur bez "okien". Ciekawym, co pod nimi.

—Niebo upstrzone samolotami. Moja manierka też przecieka pod kombinezonem i też będę miał mo-

piąć *kit-bagi*. Przypiąłem *kit-bag*. Oby tylko moja maszyna nie rozleciała się w kawałki, bo nie miałbym na czym pisać reportaży.

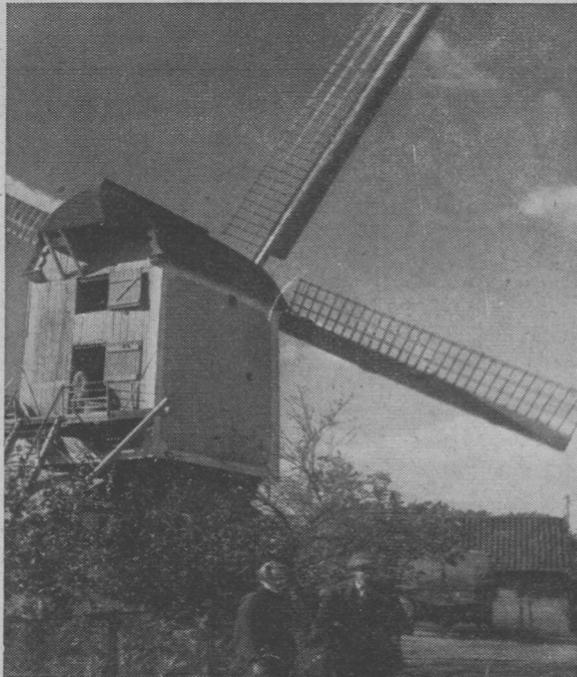
—Na dole jeszcze spokojnie. Tfu! Trzeba odpukać. Droga, na niej samochody i czołgi. Żołnierze starają się dowcipkować na temat, że już nas nie odwołają. Ale to też warto odpukać.

—Coś rzuca nami. Może strzelają. Ziemia poorana bombami.

—Fabryka — ale cała. Mokro — stawki. Lotnisko. Nie, to miejsce lądowania szybowców. Wygląda jak rojowisko owadów. Zaraz powinien być Waal.

—Most pontonowy na rzece.

Droga — ruch samochodów i czołgów w naszym kierunku. Kanał



... "wiatrak — symbol naszego celu"

kro. Szkoda, że w dole nic nie widać — słowem lecimy "w ciemno". Tutaj jak na obszernym placu — oto nieco w dole leci myśliwiec w odwrotnym kierunku i ma wygląd, jakby nie zwracał na nas uwagi. Drugi pilot wygląda do nas przez drzwi i ostrzega, aby zatkać uszy, kiedy będziemy schodzić w dół. Zapytuję pilota, czy jesteśmy jeszcze nad kanałem. Odpowiada, że nie wie, bo nic nie widać. Pod nami klucze dwumotorowych samolotów zdążają po robocie do baz w Anglii.

Pomyśleć tylko, że w czerwcu 1940 roku opuściliśmy Francję jako rozbitki. Teraz wracamy jako wielka armada wojsk powietrznych z powrotem na kontynent. Niebo jest teraz szafirowe, na nim rzędy stratusów, w dole szara otchłań chmur i mgieł. Ręce marną. Odczuwam radsze powietrze i oddycham głębiej. Sąsiednia trójka samolotów zanadto się zbliżyła, więc trzeba było się odsunąć. W dole kłębią się szare, przykre chmury, a przed nami płynie obłok w kształcie złotego łabędzia. Podobno widać ład.

Schodzimy ostro w dół, czuję ucisk w uszach. Natychmiast robi się ciepło. Weszliśmy w chmury i zmniejszamy szybkość. Widać ziemię! Nareszcie kontynent Europy. Co to za kraj? Jakis dym w dole. Jeden z naszych samolotów zgubił motocykl. Oderwał się spod kadłuba i poszedł w dół. Na ziemi, na wstępie drogi widać samochody i można rozpoznać na nich duże białe gwiazdy. Domy, osady, jakaś fabryka — zupełnie brak zniszczeń. Wydaje się, że lecimy bardzo wolno. Trudno oderwać wzrok od tej na dole ziemi — jest już wolna.

—Już za nami dwie godziny lotu. Jakis kanał, a za nim następny. Widocznie zbliżamy się do linii frontu, bo radiotelegrafista każe nam nałożyć hełmy. W dole większe zniszczenia, księżycowe krajobrazy miejsc, gdzie wybuchły serie bomb lotniczych. Pola i lasy — domki. Jesteśmy, zdaje się, jeszcze nad swoimi. Czym powita nas ziemia holenderska? Piękne miasteczko i fabryka zrębana bombami. Większa rzeka z dopływem i most. Jakis samolot na spotkanie.

—Pilot tylko co kazał nam przy-

most — miasto. Most nieuszkodzony.

—Trochę rzuca. Wiatrak! Zgasłem ostatniego papierosa. Schodzimy niżej. Las i nad nim "dziura" — więc motory wyją.

—Zdaje się to jest Waal, ta duża kręta rzeka. Przekraczamy ją. Action station...

Porwaliśmy się ze swoich miejsc, prawą ręką przytrzymując *kit-bagi*, a lewą przesuując taśmy spadochronów. Stoimy jeden za drugim w rozchylanym rzędzie. Podsuwamy się bliżej ku drzwiom. Samolotem rzuca. Może to być spowodowane po prostu raptowną zmianą szybkości. Chwila największego napięcia. Strasznie długo trwa to *action station*... I już przede mną robi się luz, coraz wolniej, coraz to mniej ludzi. Drzwi wchłaniają jak próżnia. Po tem tylko kłębowisko wiatrów...

Kiedy ogarnęła mnie cisza i spokój lotu na spadochronie, kiedy ujrzałem pod sobą sielankowe łąki i pulchne kłębki drzew i krzewów zapomniałem na chwilę, że to wojna, prawdziwa wojna, a nie ćwiczenie i cała moja uwaga skupiła się na *kit-bagu*. Pociągnąłem za taśmę i ostrożnie opuściłem worek na długość linki. Doskonale — maszyna prawdopodobnie będzie w porządku. Instynktownie spojrziałem w górę, na spadochron. Kołysał się nade mną majestatycznie, bez skrętów i poplątanych linek. Dobrze wyskoczyłem — sprawiło mi to przyjemność. I dopiero wtemczas przypomniałem sobie, że to przecież wojna. Równocześnie usłyszałem wystrzał i świst kul. Zrobiło mi się nieprzyjemnie i głupio. Wtemczas zapragnąłem czym prędzej znaleźć się na ziemi.

Leciałem równo w dół za *kit-bagiem* i jego linką wycelowaną w sam środek czworokątnej zabudowań małej farmy. Nie pragnąc pociągnąłem za przednie szelki spadochronu i ślizgiem minąwszy budynek wylądowałem między nim a stogiem siana. Rozglądając się bacznie dokoła, błyskawicznie uwolniłem się z szelk spadochronu i wyjąłem swoje dwa chlebaki z *kit-bagu*. Obok mnie wylądował jakiś żołnierz. Nie zrozumiałem, co do mnie krzyknął. Między sto-

giem siana a domem otwierał się widok na łąkę, przez którą biegli nasi żołnierze, od czasu do czasu przypadając do ziemi. Niektórzy z nich strzelali w kierunku skąd dochodził do mnie przerywany głos broni maszynowej. Wyszedłem na tył zabudowań, aby zorientować się w terenie. W porządku — tam w oddali widać pasmo zalesionych wzgórz. Tam jest Arnhem i Dolny Ren. W zabudowaniach farmy było spokojnie i pusto, tylko jeden z naszych spadochroniarzy na moje pojawienie się przypadł do ziemi, gotowy do strzału. Poznawszy mnie machnął ręką i poszedł wzdłuż rowu.

Ta wojna nie wygląda wcale groźnie — pomyślałem z humorem wchodząc między jabłonie, uginające się pod ciężarem wspaniałych owoców.

Nagle, pod jedną z jabłoni ujrzałem spadochroniarza nie odpiętego od spadochronu, którego czasa okryła koroną drzewa. Żołnierz leżał z głową opartą o ramię — jakby spał. Podskoczyłem do niego i potrząsnąłem za ramię. Był już sztywny. Na szyi miał głęboką otwartą ranę. Młody, jasnowłosy chłopak. Nie znałem go. Próbowałem znaleźć przy nim jakieś dokumenty. Ale musiałbym go rozpiąć: szelki spadochronu, wierzchni kombinezon, oporządzenie, "smoke" /dolny kombinezon/ — aby wreszcie dobrać się do *battle-dressu*. Nie ma na to czasu na zrutowisku bojowym po wylądowaniu. Wszyscy podążali szybko na północ. Opustoszało wokół mnie. Byłem w pierwszej chwili wstrząśnięty niespodziewanym widokiem zwłok naszego żołnierza. Rana wskazywała, że w momencie lądowania dobiegł do niego Niemiec i rozplątał mu szyję bagnietem lub nożem. A mnie się w pierwszej chwili zdawało, że to jest ciekawa, uroczą wojenka, a nie wojna, ze swoimi ponurymi akcesoriami. Jako korespondent wojenny, zgodnie z prawem międzynarodowym nie miałem przy sobie żadnej broni. Zrobiło mi się nieswojo. I nagle, jakby jakiś tajemniczy mechanik przełożył we mnie przekładnię, nastawiając na frontowy sposób myślenia i odczuwania. Martwy żołnierz leżący koło moich butów przestoczył się w normalną, zwyczajną rzecz. Po diabła tutaj się płacze? Szybkim krokiem podążyłem w ślad za wszystkim.

W pobliskim zagajniku i na łąkach wzdłuż rowów zbierały się nasze oddziały. Tam też zobaczyłem pierwszych jeńców — trzech rozbrojonych dryblasów z przerażeniem w oczach. Stali z podniesionymi rękami spoglądając niepokojnie na wycelowane "Steny". Wartownicy kazali im położyć się na ziemi. Momentalnie runęli na twarz. To jedni z tych, co strzelali do nas jak do kaczek, kiedy opadaliśmy na spadochronach.

Każdego kolegę dołączającego do swego oddziału reszta wita szero-kim uśmiechem. Zaczynają krążyć wesole żarty. Oficerowie nawołują do uwagi i ostrożności. Jesteśmy na nierozpoznanym, nieprzyjacielskim terenie. Wokół nas Niemcy. Teren jest płaski, pocięty wąskimi rowami. Na łąkach spokojnie pasie się bydło. Ale między kwadratami łąk liczne zarosła i sady, znad których wyglądają dachy domów, dalej wieża kościoła, komin jakiejś fabryki. Nie wiadomo kto tam jest. Zapada pierwszy zmierzch. Cisza. Wśród niej z rzadka pojedynczy, jakby przypadkowy wystrzał.

Na wąskiej drodze omijamy szczątki trzech niemieckich aut wojskowych. Dwa spalone doszczętnie, trzeci — autobus — posiekany kulami. Pohulaby tutaj alianckie samoloty. Przypomina się nam w ten holenderski wrześniowy wieczór nasz, Polski Wrzesień. Ale wtemczas było inaczej.

Przyglądam się bacznie mijającym żołnierzom, z radością rejestrując twarze moich znajomych i przyjaciół. Spotykam małego kucharza z mego samolotu. Powiada, że fajno jest. Dowcipniś ze Starchowic ma do nas pretensje, że nie słyszeliśmy, jak krzyknął wyskakując z samolotu: "Cześć! Cześć! Stasiuś zapodział się gdzieś jego wspólnik od *kit-bagu*. Klnie na niego i jest czerwony jak burak od dźwigania podwójnego bagażu. Jerzy lądował na głowę, i jest jeszcze trochę oszołomiony. Pyta się

kilka razy o tę samą rzecz. Znamy te dolegliwości spadochronowe — nie groźne. Raczej komiczne. Dowódca — generała spotkałem jeszcze przed zagajnikiem. Był w dobrym humorze i wydawał dyspoczyć w sprawie przesłuchania jeńców. Rannych przy lądowaniu oczywiście zabrano ze sobą. Podporucznik ze złamaną nogą siedzi na rowerze, który prowadzi podtrzymując z obu stron dwaj sanitariusze. A ten uśmiecha się i dowcipkuje, chociaż ma zupełnie prawo pojękiwać od czasu do czasu.

I tak wchodzimy w przysiółek. Ludność zebrana w komplecie wita nas z entuzjazmem, wykrzykując coś w niezrozumiałym dla nas języku, ściskając nam ręce i obdarowując owocami. Na piersiach każdego tubylca widnieje pomarańczowy kwiat — znak wojnej *Oranje*. Na nogach mają drewniane saboty. Ale ten obcy dla nas rodzaj obuwia, jak i niezrozumiały język znikają na tle tej kontynentalnej wsi. Droga pokryta gęstym błotem, malowniczo włożona w bujne krzewy i rosochate wierzby, domki stoczone w nieładzie, kwiaty przed oknami, zapach krów i mleka. To wszystko takie swojskie, takie inne, niż jednostajny standard i asfalty wysp Wielkiej Brytanii. Jesteśmy bliżej — ale jeszcze tak strasznie daleko.

Zapadł zmierzch. Wkraczamy w naszą pierwszą prawdziwą noc spadochronową.

"JEZ" BRYGADY SPADOCHRONOWEJ

W drugim dniu nieudanego startu na lotnisku w Anglii konkretnym zadaniem, jakie otrzymała Brygada, była przeprawa przez rzekę w miejscu, gdzie na mapie był zaznaczony jakiś prom. Żołnierz nie wiedział co ma być później i nie bardzo rozumiał, poco ma lądować na południowym brzegu, aby przeprowadzić się na północny. Domyślaliśmy się, że coś tam się nie udało Brytyjczykom. Nie wiedzieliśmy jednak, że jest aż tak źle. Jeszcze na lotnisku w przeddzień startu kiwalimy głowami nad tym "promem", którym cała Brygada miała przeprowadzić się na drugi brzeg.

Mapa jest kolorowa i przejrzysta i wszystko na niej przedstawia się w jaśniejszych kolorach. W terenie była długa ciemna wieś i droga, która niepotrzebnie wylaża na wysoki wał. Miał on także tę dobrą stronę, że siedząc za nim można było platonicznie podziwiać strugi świetlnych pocisków, którymi powitali nas Niemcy broniący przeprawy. Następnym przedstawieniem, jakie urządzili dla nas, był nekający ogień z moździerzy. Kiedy nasze patrole stwierdziły, że nie ma żadnych środków przeprawowych, a nawet naszych sił na przeciwnym brzegu, a ogień nieprzyjacielski coraz to uporczywiej starał się nas przekonać, abyśmy nie wierzyli w żadne cuda — nie nam tej nocy nie pozostało, jak poszukać sobie dogodnego miejsca i okopać się, tworząc silnego "jeza" obronnego do czasu, póki się nie da coś lepszego wymyślić.

W podobnych momentach, kiedy rzeczywistość szczyrzył zęby w złośliwym uśmiechu do twórców planu, dowódca, któremu wykonanie tego planu powierzono, przeżywa trudne chwile powzięcia decyzji. Ogół żołnierzy natomiast przyjmuje to z mądrą beztroską, bo martwienie się nic dobrego nie przyniesie. A było czym się martwić. Pomijając już to, że najeżona ogniem nieprzyjacielskim rzeka nie dopuszczała nas do głównych sił własnych i naszej broni oraz sprzętu ciężkiego, który został tam parę dni wcześniej dostarczony rzutem szybowcowym — po wylądowaniu Brygady okazało się, że brakuje jednego całego batalionu i żołnierzy z paru jeszcze samolotów. Wszystko to razem nadzwyczaj osłabiło Brygadę. Dopiero kilka dni później wyjaśniło się, że zaginiony batalion został zawrócony z lotu — z powodu złych warunków atmosferycznych — wylądował z powrotem w Anglii, aby znowu udać się tą samą drogą i dołączyć do nas w przeddzień zakończenia naszej akcji. Jeden z zaginionych samolotów został ostrzelany i przymusowo wyrzucił spadochroniarzy. Ale ci także do nas później zdolał dołączyć.

Zanim jednak to wszystko się stało, okopaliśmy się w miejscowo-



# Marsz do Cesano



„Niemieckie działo, rozbite ogniem naszych pocisków . . .”

I jeszcze jedno ogniwo przybyło w łańcuchu, a tym ogniwem jest operacja nad Cesano. Poprzednie ogniwa — to były Olienti, Loreto, Osimo, Ancona, Misa. Łańcuch jest długi i ciężki, toteż coraz trudniej jest żołnierzowi nieść go na swoich barkach.

Z punktu obserwacyjnego widać dokładnie cały przedmiot natarcia. Jest to pagórkowaty grzbiet, dość ostro wymodelowany i zamykający sobą około czterdzięci stopni horyzontu. Innymi słowy jest to dowolny fragment krajobrazu tutejszych stron: zbocza pokryte sadami, tu i ówdzie domki wieśniacze, obok nich stogi i tkwiące pionowo jak świece — topole włoskie. Przebiegając wzrokiem od zachodu na wschód dostrzegamy cmentarz w cyprysach, zdobyty parę godzin temu po krwawym szturmie, potem małe siodelko za rzymskim, później zgrupowanie domków, drugie siodelko, a dalej pojedyncze zagrody, aż do wzgórza 162, wyróżniającego się dzięki dwu ażurowym wieżom, służącym za podpory dla przewodników wysokiego napięcia. Masyw spada następnie stromo ku wąwozowi, za którym widać następny grzbiet i miasteczko — Scapezzano. Patrząc jeszcze dalej na wschód spostrzegamy już tylko Adriatyk, kres wszelkich operacji, naturalną granicę każdego natarcia.

Jeśli zadać sobie trud trzeźwego rozważenia sytuacji, trudno narząć wysokiego mniemania o dowództwie niemieckim. Sama myśl obrony na tym mizernym i łatwo dostępnym placu terenowym po to tylko, aby osłonić mizerną rzeczkę Cesano, była bzdurna. Dalsze wypadki pokażą, że dowódca niemiecki drogo za tę swoją strategię zapłacił.

Punkt obserwacyjny na krótko przed natarciem z cmentarza na wzgórze 162. Jest to chałupa, dość ordynarna, z częściowo rozwalonym poddaszem. Rąbnęły w nią trzy czy cztery pociski ciężkiej niemieckiej artylerii. Ale nikt wskutek tego nie zamierza się z niej wynieść. Przeciwnie — na poddaszu ruch, jak na giełdzie nowojorskiej podczas krachu. Wszystkie obecne osoby poruszają się w przyspieszonym tempie i wszyscy mówią do wszystkich. W pierwszej chwili odnosi się wrażenie, że nikt nikogo nie rozumie, i że ma się przed oczami obraz najdziwniejszego bałaganu. Tymczasem wszystko jest we wzorowym porządku, i — daj Boże — żeby inne natarcia były tak dowodzone.

Złudzenie chaosu potęguje rozlegające się co chwila „buch-buch” — to łupi szwabska artyleria. Pociski zaczynają „wymacywać” naszą chatkę. Rano szkopy ostrzelały schron dowódcy trzeciego batalionu. Schron runął i przysypał cały sztab. Dowódcę odkopano, otrzepano z kurzu, po czym pojechał na linię. Na wojnie nikt się nie pieści. Ale ponieważ w żołnierzu są tylko ludzkie nerwy i wstrząs fizyczny szarpie nami mniej więcej jednakowo, co dziwnego, że jeszcze następnego dnia mjr. C . . . miły, skromny człowiek o młodziutkiej twarzy, wyglądał jak upiór.

Ale o czym to była mowa? Aha! Więc na punkcie obserwacyjnym dzwonią telefony, ludzie przekrzykują się nawzajem, gada przy tym radio londyńskie. Właśnie transmitują audycję z Nowe-

go Jorku. Znacnie tego skoczego cowbojskiego marsza, a po nim to zachwalanie „towaru”, że Nowy Jork podaje wiadomości najprawdziwsze i bez żadnych szkodliwych domieszek. Radio wpada ni w pięć ni w dziewięć swoją cowbojską muzyką w całą sytuację, ponieważ panuje nastrój niesłychanego napięcia: lada chwila bowiem czołgi — w przepłatanek z piechotą — mają przespacerować się po grzbiecie i „ogolić” go z nieprzyjaciela. Tak się jednak składa, że dowódca baonu ma bardzo pilną rozmowę radiową i szybko uziemia się gadatliwą skrzynkę.

Czyście zauważyli, że radio polowe zawsze nawala, kiedy jest najpotrzebniejsze? Przeważnie jedna strona słyszy drugą doskonale, a druga ani w ząb nie może pojąć tej pierwszej. Prowadzi to do sytuacji, w których ludzie wzajemnie się na siebie obrażają. Dla postronnego widza jest tu nawet niezłe pole do obserwacji. Więc najpierw normalnie zrównoważona osoba zaczyna lekko się podniecać. Dalsza współpraca szatańskiego przyrzędu doprowadza do coraz silniejszego rozdrażnienia, aż wreszcie widzimy, jak nagły, niepowstrzymany i jasny szlag trafia szanownego rozmówcę. Pamiętajcie, rozmawiając przez radio, o następującej dobrej radzie autora: mówcie o ile możności z podwładnymi.

Po małej godzinie spóźnienia czołgi wypełzły z cmentarza i pochyliły się piąć po burym zboczku. Pozornie wyglądało, że pejąż zachowuje się z zimną obojętnością wobec tego ruchu. Ale zaraz wszystko zaczęło się w nim krzącać i obracać w proch. W ślicznych domkach powstawały dziury, dachy waliły się w głąb budynków, a stogi — jeden za drugim — zaczęły palić się jasnym ogniem. Notuję w swoim notesie, że pochod stalowych gadów jest „apokaliptyczny”. Wszystkie stogi już się palą. Czołgiści potrzebują patosu. — „Kiedy jedziemy w tym jazgotcie piekielnym — mówią — lubimy, jak się naokoło ściele dym ogniem i śmiercią”.

Coraz to gąśnie jakieś życie. Herrenvolk przynosi się gremialnie do Walhalli. Tylko, że tego się z punktu obserwacyjnego

nie dostrzeżę. Punkt obserwacyjny wypatruje niecierpliwie własnej piechoty, która zapóźniła się i marudzi gdzieś w tyle za czołgami. Nie mogę do tej pory zapamiętać jednego zapytania dowódcy baonu do czołgistów w natarciu:

— Czy nie macie czasem zajęczków na swoich gąsieniczkach? — Nie wiem sam, czy jestem we freblówce, czy w domu obłąkanych. A chodzi po prostu o to, czy piechota nie jedzie czasem na czołgach.

Ale i piechota się znalazła i czołgi dopełzły pod 162. Wzięto około stu jeńców i pomału zaczęła wybić godzina dla Scapezzano. Właśnie potężne paroksyzmy artylerii wyładowywały się na miasteczku, owijając je w taki welon kurzu i dymu, że ginęło nam zupełnie z oczu. Wszystko wskazywało, że pierwsza brygada pożarła już swój przedmiot natarcia i widziacie mnie właśnie, jak w pełni tego przeświadczenia zmieniam swój punkt obserwacyjny.

A więc proszę Państwa — akt drugi. Bitwa przeniosła się w toku opowiadana o kilka kilometrów na wschód, my przesunęliśmy się jednak jeszcze dalej i w rezultacie znowu mamy ją po lewej ręce. Zbliża się godzina piąta popołudniu. Nasz nowy punkt obserwacyjny /tym razem nie chałupa, lecz pałac Ponte Vecchich/ uziemiony jest o kilometr na wprost Scapezzano. Miasteczko, jak wszędzie we Włoszech, robi wrażenie, że domy w nim są zróżniane ze sobą. Tylko kilka budynków stoi samopas. Oto trzy, o których musimy wiedzieć. Pierwszy — poniżej lewego skraju miasteczka — to złoty „podwójny” domek. Dalej na tej samej wysokości, o jakie stopięćdziesiąt kroków domek biały, zwykła chałupa, a w odległości następnych dwustu kroków domek trzeci, mniejszy od obu poprzednich i zasłonięty krzakami. Pomiędzy linią domków a linią miasta, gdzieś w połowie wysokości, odcina się wyraźnie duża bryła szpitala.

Inny batalion czeka na chwilę wejścia do akcji. Kompanie są już w wąwozie pod miasteczkiem i czekają aż czołgi wygramolą się na 162, aby mieć dzięki nim wsparcie od lewego skrzydła. Scapezzano wynurza się na chwilę z jednej nawały, aby utonąć w dymie następnej. Czas płynie. Niemcy nie chcą jakoś przenosić się do Walhalli, ponieważ w dalszym ciągu okładają nas ordynarnie z moździerzy. Sanitariusz mają sporo do roboty, składają właśnie na podwórzu z noszy rannego sapersa. Rana wygląda groźnie — całe spodnie unurzane są we krwi. Ktoś pośpiesznie rozcina materiał nożem — okazuje się, że odłamek z moździerza utkwiał saperowi w podesładku. Rana mało honorowa, ale co ważniejsze — niegroźna. Zastanawiam się, czy spodnie zostaną przypisane saperowi do zwrotu?

Czołgi wciąż jeszcze nie weszły na 162, a ponieważ robi się późno, batalion nie czekając na wsparcie rusza do ataku. Kompania por. P. posuwa się wąwozem, między 162 a Scapezzano. Kompania por. Puz. naciera od czoła. Artyleria oddała

teraz głos ckm-om, których zadaniem jest wprowadzenie na scenę piechoty. Kompania kpt. Pawła Fr. „wszczekuje” się w miasteczko. Ten występ solowy trwa zresztą krótko, bo już gołym okiem dostrzegamy pojedynczych żołnierzy, przemykających się koło żywopłotu, okalającego złoty domek.

Niemcy — trzeba im to przyznać — mają silne nerwy. Milczą do ostatniej chwili i strzelają, gdy przeciwnik zbliży się na odległość skutecznego strzału. Wszystkie Spandau'y odezwały się naraz. I te spod złotego domku, i te spod szpitala, i te wreszcie z krzaków spod białej chałupy. Aż się zakurzyło po zboczach. Tymczasem nasi żołnierze są już za stogiem koło złotego budynku i prażą po oknach z tommygun'ów. Wszystko rozgrywa się w odstępach paru sekund.

Bronią się, czy uciekli? Bronią się do ostatka. Przed stogiem wykwitają wybuchy ręcznych granatów. Jeszcze chwila i nadchodzi wiadomość, że natarcie się nie powiodło. Trzeba wycofać piechotę i „zmieknąć” szkopów ogniem pancernym. Będą strzelały siedemnastki.

Nadchodzi meldunek od kompanii por. Bach. Są już u przeciwnego skraju miasta. Inny batalion melduje, że jego kompania wdziera się z powodzeniem w głąb pozycji niemieckich. Mechanizm natarcia pracuje jak zużyty silnik na wyboistej drodze. Szarpie, zgrzyta, ale posuwa się naprzód.

Przyprowadzają pierwszych jeńców, wziętych podczas natarcia. Młode, zdrowe byki — jest ich razem szesnastu. Podchorąży zbierają dane ewidencyjne. Sami rdzenni Niemcy: Turyngia, Szwabia, Saksonia — serce niemieckie. Jeden tylko nazywa się Johann Jezusek. Ten pochodzi z Opola. Sadząc po powierzchowności, jest to łotr spod ciemnej gwiazdy. Wszystkie „aniołki” stoją twarzą do ściany z rękami założonymi za kark. Co z nimi robić? Patrząc na tych młodych chłopców, aż trudno uwierzyć, że są to niepoprawni zwyrodnialcy.

Padają pierwsze strzały „siedemnastek”. Pociski się widzi wyraźnie. Lecą, lecą ogniste kule — wydaje się że to trwa wieki, a to tylko drobny ułamek sekundy, a potem kula jakby wsiąkała w dom, tak to wygląda miękko i niewinnie. A pocisk tymczasem przebijając wszystkie ściany, i detonuje w zboczu góry. Sam naliczyłem osiem celnych trafień w „siedemnastek”, a przecież grzała jeszcze zwykła artyleria. Wydawać się mogło, że w promieniu przynajmniej stu metrów żywa dusza się nie ostała. W każdym razie dom stoi jak stał. Tylko jedno z piętrowych okien przekształciło się w nieforemną jamę, a dach w narożniku załamał się do środka.

Po kwadransie piechota naciera zza tego samego stogu i . . . dostraje ogień ze wszystkich Spandau'ów. Tak wygląda ta dzisiejsza wojna . . .

Noc zapada i zapuszcza zasłonę na wszystkie nasze powodzenia i niepowodzenia. Miasto wciąż jest niezdobyte, a na domiar złego kompanii por. Bach. zagraża

otoczenie przez Niemców. Z konieczności uchyla się na kierunek wąwozu. W tym czasie pierwsze czołgi ukazują się na widowni. Na nowo też do głosu dochodzi artyleria i przy jej akompaniamencie układamy nasze zmęczone głowy do snu. Jutro ciąg dalszy.

Rano jest już wszystko skończono. Żołnierze weszli do Scapezzano i kolekcjonują jeńców. Niemcy w ciągu nocy zdolali wycofać znikomą część załogi — większość wolała nie ryzykować skoku przez ogień polskiej artylerii. Nadzarnięta w naszych oczach reputacja artylerijska szybko więc zostaje naprawiona.

Scapezzano, kiedyś tam weszli, było jeszcze jednym więcej obrazem ludzkiej biedy i nieszczęścia. Kobiety, dzieci — to wszystko teraz zaczęło wylazić ze schronów i zastanawiać się nad dalszym życiem. Szukamy śladów nieprzyjaciela. Na wschodnim skraju miasta stoi rozbite ogniem naszych pocisków ciężkie, niemieckie działo pancernie. W rejonie miasteczka rowy szczelinowe i głębokie schrony, wygrzebane przez Niemców, a raczej dla Niemców. Wszędzie poniewiera się porzucona w ucieczce broń. Włosi znoszą ją ochotniczo na rynek.

Jak wszędzie i zawsze jesteśmy „liberatori”, i wszystko jest „rubato per i tedeschi” i „portato via” — co niewątpliwie jest zgodne z prawdą, słuchanie czego jednak gorsze jest, niż wojna.

Przez ciekawość wypytuję Włochów o straty. Dwóch zabitych — jeden żołnierz niemiecki i jeden Włoch, jeden cywil ranny. Oto pokłóse piekielnego ognia artylerii przez dwadzieścia cztery godziny. Zaprawdę zabicie jednego człowieka kosztuje więcej pieniędzy, niż utrzymanie całej rodziny od kolbelki aż do sędziwej starości.

Dla statystyki oglądam złoty domek i szpital. Ponieważ jestem pierwszym żołnierzem, który zapuścił się w tę część miasta, ludzie spoglądają na mnie wielkimi oczami.

Obok mnie, gliniastym zboczem wzgórze schodzi jakaś kobieta. Obserwuję ją ukradkiem. Ani nędzny ubiór, ani zmizerowana twarz nie umniejszały jej wrodzonej godności. Kiedy zbliżamy się do domu, kobietę ogarnia podniecenie — przyspiesza kroku. Z bliska dopiero widać całe straszliwe zniszczenie. Całe wnętrze domu runęło do środka. Kobieta staje jak wryta. W tej chwili z ruin wychodzi mężczyzna. Jest wychudły, twarz inteligentna i smutna. Gdy dostrzegają się, kobieta bez jednego słowa, z szlochaniem, który przeszywa serce, rzuca się w jego objęcia.

Takich momentów nie można wymazać z pamięci.

Z wiadomości jakie nadeszły, wynika, że cały teren aż do Cesano oczyszczony jest z nieprzyjaciela. Dywizja wzięła około dwustu jeńców, wiele broni i sprzętu. Pierwsza brygada utworzyła już przyczółek po drugiej stronie rzeki. Pogrom Niemców był dotkliwy.

Pora już zawiesić pióro na kolku. Zwycięstwo nad Cesano opłacone zostało — jak wszystkie poprzednie i wszystkie następne — życiem i przelaną krwią żołnierzy karpaccich. Idziemy drogą natarcia trzeciego batalionu — jak cienie sunące śladami stoczony bitwy — podnosimy z ziemi brozione krwią karabiny, wydobywamy z fatalnego rowu helm zabitego por. Sobolewskiego, i wchodzimy na cmentarz.

— Tu już nawet oporu nie było. Niemcy stali z rękami do góry — objaśnia porucznik, zastępca poległego dowódcy.

Na grzbiecie wiatr czesze gałęzie cyprysów. Widać Fano, widać Senigallie. W dole płynie rzeka a za nią otwierają się dalsze horyzonty. Pejąż jest sielski, łagodny, artylerii w ogóle nie słychać.

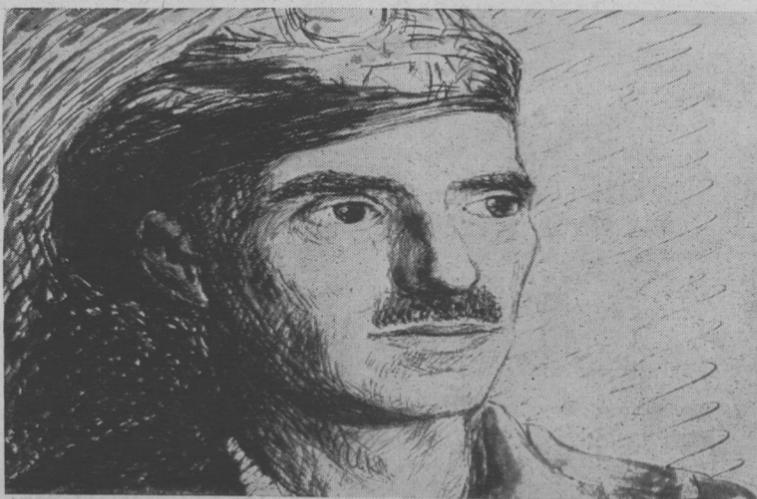
Ale nie wolno nam dać się usidlić złudzeniom tej sielanki. Tak samo jak za każde ogniwo łańcucha w naszym pochodzie przyszło nam płacić krwią, będziemy musieli płacić tę samą cenę w dalszym marszu do Polski.

WITOLD DOMAŃSKI

## GENERAL ANDERS „POLSCIE WALCZĄCEJ”

Rysował ZYGMUNT TURKIEWICZ

ŻOŁNIERZ, WALCZĄCY NA ZIEMI WŁOSKIEJ, NA SZLAKACH LEGIONISTÓW DĄBROWSKIEGO, SZCZĘŚLIWY BĘDZIE, GDY KREW I TRUD JEGO PRZYNIESIE POLSCIE PODOBNA SŁAWĘ, ALE TRWALSZY PŁON. DRUGI RAZ IDĄC „Z ZIEMI WŁOSKIEJ DO POLSKI”, PRAGNĘLIBYŚMY DROGI TEJ PO RAZ TRZECI NIE PRZEBYWAĆ, LECZ POSWIECIĆ SIŁY OBRONIE I ODBUDOWIE CAŁEJ I NIEPODLEGŁEJ OJCZYZNY.



Anders. 25. 9. 44.

# Z frontu zachodniego

B.D.A.C.

## BRUKSELA

Bardzo przyjemnie jest przejść się bulwarem Adolfa Maxa o zmięczeniu w Brukseli. Człowiek po prostu oczy otwiera ze zdumienia: to jest wojna? To jest miasto uwolnione zaledwie przed kilkoma tygodniami spod okupacji niemieckiej?

Wszędzie przyciągają oko wspaniałe wystawy, barwne neony zdają się być bajką przedwojennych czasów, elegancki tłum na ulicy niczym się prawie nie różni od tłumów, które krążyły po tym samym bulwarze pięć lat temu. Co prawda tu i ówdzie daje się słyszeć czasami stuk drewnianej podeszwy, co prawda ta i tamta elegancka pani mają na pewno prznicowane kostiumy, ale... owiewa je zapach perfum Chanela, mają mistrzowsko uczesane włosy, cieniutki pończochy na nogach.

Nie, nie powabny uśmiech zatrzymał mnie na ulicy. Stałem i patrzę na tramwaj. Jedzie sobie tramwaj ulicą, motorniczki dzwoni — coś dziwnego? Tylko... że ten dźwięk dzwonka tramwajowego jakiś dziwnie znajomy. I numer. Trójka! Jedzie trójka wielkomięską ulicą, przez neony, wystawy, przez miasto. Taka głupia myśl: wsiąść do trójki...?

Wchodzę do kawiarni. Powódź światła, kwiaty, białe smokingi kelnerów. Kelner proponuje mi lody z owocami.

Nie, nie dadzą mi posiedzieć spokojnie. Oto już się dosiada jakiś Belg. Muszę odpowiadać na dziesiątki pytań, ścisnąć rękę.

—Tacy jesteśmy szczęśliwi — powtarza kilka razy.

Słucham długiego opowiadania o cierpieniach Brukseli. Chleb był tylko razowy. Kilo masła 400-500 franków.

—Głodowaliście? — pytam.

—Nie wszyscy, nie wszyscy, ale zdarzały się wypadki śmierci głodowej. Widzi pan — tu Belg ścisza głos — kto miał pieniądze mógł kupić wszystko. Czarny rynek funkcjonował znakomicie. Szczerze mówiąc, Bruksela teraz bardzo cierpi z powodu likwidacji czarnego rynku.

Największym jednak koszmarem był terror niemiecki. Byłem tylko wówczas szczęśliwy, gdy mogłem słuchać radia z Londynu...

—Niemcy nie zabrali radioaparatu?

—W Brukseli na szczęście nie. Ale w niektórych miastach zabrali. Ale to nie najważniejsze. Gdyby pan wiedział, co to znaczy życie w niestanniej obawie przed Gestapo, rewizją, aresztowaniem...! *Mon Dieu!*

—A jednak — rzucam pesymistyczną uwagę — nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ta kawiarnia przed rokiem wyglądała mniej więcej tak samo, jak dzisiaj. Niech mnie pan źle nie rozumie; chcę powiedzieć, że tak samo grała tu orkiestra, ta sama mniej więcej publiczność siedziała przy stolikach. Życie toczyło się mniej więcej unormowanym trybem.

—Życie! — oburza się Belg.

Toczyło się mniej więcej normalnie, to prawda, ale to nie było życie! Owszem, do tej kawiarni przychodzili Niemcy, ale czuli się tu zawsze obco, nikt i nigdy nie obdarzył ich uśmiechem. Ten sam kelner co i panu, podawał im kawę, ale ręce, że nie zamienił z nimi słowa, poza przyjęciem zamówienia i regulacją rachunku. Trzeba było jednak żyć rozsądnie, aby przetrwać. Ja rozumiem, pan jest Polakiem. A w waszych duszach zawsze siedzi zarzewie rewolucji. Wy zaraz musicie strzelać. A ja nie wiem, czy przez to nie stracicie więcej, niż mogliście stracić... *Pardon* — niech pan mnie teraz z kolei źle nie rozumie: Belgia jest małym krajem. My nie możemy rzucić się z motyką na słońce. Musieliśmy ratować co się da. Udało się nam mniej więcej uratować kraj od kompletnego zniszczenia, uratowaliśmy od zniszczenia Brukselę. Dzięki Bogu, wojna dla Belgii jest już niemal skończona... Niech pan nie bierze moich słów do serca, ja patrzę na Polaków z głębokim podziwem, wiele naszych miast zaledwie teraz wam wolność. Czasami sobie tylko myślę, że — mimo wszystko — nazbyt często walczyliście z wiatrakami...!

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Wyszedłem szybko z kawiarni. Zagubiony w tłumie sta-

rałem się uciec od własnych myśli na temat Belgii, Brukseli i wiatraków.

## CENA PRZELANEJ KRWI

W Antwerpii słysząc jeszcze huk dział, ale największe zmartwienia tubylców zdają się ograniczać do terminu otwarcia giełdy, kursu funta i dolara, uruchomienia aparatu gospodarczego, godnego tradycji tego miasta. Nie przeszkadza to w najmniejszym stopniu przejazdowi sanitarek przez ulice.

W sanitarkach bardzo często leżą Polacy. W skrwawionych bandażach pierwszych opatrunków, bez kropli krwi w twarzach, tragicznie bezradni w swoim cierpieniu.

Stoję przed szpitalem i opuszczają mnie nagle wszelkie wątpliwości z Brukseli. Tak nie walczą i tak nie giną Donkiszoci. Jesli-by nawet, jeśli by nawet — myślę sobie — pewne rzeczy i pewne sprawy miały dzisiaj pozory wiatraków — wiatraki te zmieniają się w pomniki dla przyszłych pokoleń. Brzmie to tak smutno, jak ostatnia audycja radiostacji "Blyskawica" z Warszawy. Z tej Warszawy, która powstanie z gruzów dla innego pokolenia...

Okropny jest zapach krwi w salach operacyjnych, zapach krwi

i eteru. Przez długie korytarze płyną wózki. Trzeba spokojnie czekać w kolejce na amputację zmiażdżonej nogi.

Ale już potem, w kilka godzin potem, na białutkiej jak papier twarzy operowanego zjawia się coś w rodzaju próby uśmiechu.

—Ale to s... syn ten mój porucznik! — mówi do mnie.

—Dlaczego? — pytam.

—No, bo mówię do niego: nie rusz mnie pan! Zginie pan razem ze mną! Pociśk rąbce za pociśkiem, z karabinów maszynowych tłuką — a ten s... syn uparł się. Wziął mnie na plecy i wyciągnął. Wyratował. Uparł się.

Teraz wreszcie rozumiem. To nie była obelga, przekleństwo pod adresem porucznika. To było najwyższe uznanie, dla wyrażenia którego ranny podkomendny nie umiał znaleźć innych słów.

Nie zawsze i nie wszędzie można na czas wyewakuować rannego. Zdarzyło się, że żołnierz jednego z batalionów piechoty, ranny podczas walk nad kanałem Hulst-Axel w Holandii, przez 3 dni leżał — o ironio! — na polu zasianym kwiatami. Po prostu sanitariusze nie znaleźli go po walce.

Przez cały dzień drogą jechały polskie czołgi i samochody. Ranny krzyczał, wzywał pomocy. Nie za-

ważono go. Usiłował doczołgać się do drogi i nie mógł. Na całe godziny tracił przytomność, uwikłany w pachnące, cudowne kwiaty.

Dopiero na trzeci dzień rano, po dwóch nocach, które ranny spędził w polu — ktoś zauważył ludzką rękę, wystającą z kłosa kwiatów. Ranny nie miał już siły, aby wolać. Na pół przytomny podnosił tylko od czasu do czasu rękę.

Uratowała go natychmiastowa transfuzja krwi i opatrunek osobisty, który zdołał sobie sam założyć.

Tak, jak potrafią cierpieć, tak samo dzielnie potrafią ginąć polscy żołnierze. Na zawsze w historii 1. Dywizji Pancerniej pozostanie czyn plutonu czołgów, których dowódca nadał meldunek: —Atakuje nas 16 "Tygrysów" i "Panther". Prosimy o pomoc.

Odpowiedź radiowa brzmiała:

—Pomoc w tej chwili niemożliwa. Nie opuszczaj stanowiska. Zasilony się dymem. Bronić się.

Rozkaz został wykonany. Bronili się do ostatka. Zginęli wszyscy. Nie jeden i nie dwa przykłady najwyższego samozaparcia i poświęcenia dałyby się znaleźć w kronikach poszczególnych pułków. Niejeden też czyn żołnierski zginie na zawsze w niepamięci.

## Wieczór na lotnisku

Dochodzi godzina siódma. Słońca już nie widać, ale w stronie, gdzie zniknęło za horyzontem, niebo czerwieni się jeszcze i złoci.

Jesteśmy na lotnisku alianckim na północy Francji, w samym sercu tak zwanego *Pays Noir* /czarnego kraju/ — francuskiego zagłębia węglowego. Polacy — jest ich tu całe skrzydło myśliwskie — polecili gdzieś nad Holandię i wrócą dopiero za pół godziny; na razie oprowadza mnie po lotnisku jeden z oficerów personelu ziemnego.

Czarny Kraj, to główne skupisko emigrantów polskich, górników.

—Przywitano nas tu fantastycznie — mówi porucznik — zaraz tego samego dnia, kiedy przyjechaliśmy, zaczęli się schodzić Polacy na lotnisko, znosili nam prezenty, zapraszali do domów, a kobiety od razu pozabierały nasze ubrania i bieliznę do prania i reparaacji. W Roubaix urządzono dla nas specjalne przyjęcie i akademie; a następnego dnia górnicy i ich synowie ławą przyszli na lotnisko zgłaszając się na ochotnika do wojska.

Ponieważ władze polskie we Francji nie miały jeszcze aparatu potrzebnego dla rekrutacji ochotników, a lotnikom żal było odsyłać ochotników z niczym do domów, załatwili więc sprawę po swojemu: pusty dom koło lotniska zarekwirowali na baraki i sami mieszkając pod namiotami, umieścili pod dachem nowych żołnierzy. Podzielili się też z nimi swymi racjami, żywnością, papierosami i nawet mundurami. Wojsko ochotnicze skoszarowane przy lotnisku liczy już dzisiaj przeszło dziewięćset ludzi.

—Poza tym na lotnisku nie się specjalnego nie dzieje — mówi dalej porucznik. Od sześciu tygodni nie widzieliśmy już Niemców, latamy przeważnie na bombardowanie w bezpośrednim poparciu akcji wojsk lądowych.

Idziemy do *Flying Control* /kontrola lotnicza/.

W ciężarówce z oszklonym dachem siedzi służbowy oficer, rudawy, różowy, uśmiechnięty Anglik. Dokoła, ze wszystkich stron, tablice rozdzielcze, zegary, światełka, telefony.

—Pierwszy polski dywizjon powinien lądować za siedem minut — mówi nam Anglik.

Wychodzimy z *Flying Control*, wypatrując "Spitfire'ów" Dywizjonu Krakowskiego, które zbliżają się do lotniska. Słońce już zupełnie znikło, i tylko gdzieś tam chmury się jeszcze różowia; podnosi się zimny, przenikliwy wiatr jesienny. Dowódca dywizjonu, 28-letni major Witold R. patrzy z niepokojem w górę. Niebo coraz ciemniejsze, a tu przecięć dwadzie-

ścia kilka "Spitfire'ów" musi jeszcze wylądować.

Nareszcie ukazuje się na horyzoncie samolot. Wielkie czarne ptaszysko przelatuje na kilkaset metrów zaledwie nad ziemią, z szumem i warkotem okrąża lotnisko i podchodzi do lądowania. Nie "Spitfire" ale "Liberator". Ledwo pierwszy usiadł, wypada nad lotnisko drugi. Trzeci. Dopiero po chwili z północy nadlatuje pierwsza szóstka "Spitfire'ów". Są o kilkaset metrów wyżej, niesłychanie małe i zwinne w porównaniu z sapiącymi czterosiłkowcami. Robią jedno okrążenie, rozsypują się do lądowania, jeden już jest na prostej do *runway'u*, gdy nagle brutalnie przecina mu drogę jeszcze jeden "Liberator". "Co jest, co?!" — woła z oburzeniem dowódca *flight'u* i biegnie do *Flying Control*.

—Jest cyrk — mówi, wracając po chwili. Pierwszorządny cyrk. Trzydzieści amerykańskich "Liberatorów", benzynowy konwój powietrzny czeka na wylądowanie. Plus blisko trzydzieści polskich myśliwców. Plus *flight* angielskich "Typhoon'ów".

Cyrk zaczyna się bardzo szybko. W ciągu kilku minut zjawia się nad lotniskiem jeszcze kilka "Liberatorów", jeszcze kilka "Spitfire'ów", "Typhoony". Kraża, jak oszalałe, przelatując nad lotniskiem w różnych kierunkach i z różnych stron.

Myśliwcy polscy, których zapasy paliwa są już prawdopodobnie na wyczerpaniu, otrzymują pierwszeństwo lądowania. Anglik kontrolujący ze swojej ciężarówki "Spitfire'y" krzyczy przez telefon do kolegi we *flying control* pilnującego "Liberatorów": "Keep them flying! Keep them flying!..." /Niech latają!/. Amerykanie w "Liberatorach" mają jednak na ten temat swoje zdanie. Są to wszystkie piloci dzienni i lądowanie w ciemnościach bynajmniej im się nie podoba; coraz któryś wypada niespodzianie i wali prosto na *runway*, aż go w ostatniej chwili rozpaczliwie raketami z ziemi odpejdają.

Ostatecznie Polacy zaczynają lądować.

Podoficer angielski podbiega do *jeep'a* majora Witolda R.

—*Sir, one of the Poles seems to be in trouble* — melduje. /Z jednym z Polaków coś jest zdaje się, nie w porządku/.

We *Flying Control* major zajmuje miejsce oficera służbowego i woła do mikrofonu:

—Halo, halo... Tu mówi dowódca dywizjonu. Ile masz benzyny?

—Trzydzieści litrów — odpowiada głos z przestrzeni — zacięła mi się rączka od podwozia, nie mogę jej w żaden sposób ruszyć.

—Trzydzieści litrów? O.K., nie denerwuj się. Spróbuj jeszcze raz pociągnąć rączkę. Spokojnie.

—Już próbowałem, nie rusza się.

Ten chłopak w samolocie to nowicjusz, który dopiero parę dni temu przybył do dywizjonu ze szkoły.

—Spróbuj jeszcze raz — mówi dowódca.

Chwila ciszy.

—Nie, nie da rady. Nie rusza się.

—Zaczekaj chwilę — odpowiada dowódca. — Zaraz wracam. Zdać się, że będziesz musiał lądować bez podwozia.

Oba głosy, i ten w ciemności i ten we *Flying Control*, brzmią bardzo spokojnie i opanowanie. W tym z góry jest może, ledwo dostrzegalna emocja.

—Przygotować lotnisko do przymusowego lądowania. "Spitfire" nie może próbować siadać na *runway'u*, bo kilkadziesiąt innych samolotów kołuje jeszcze nad lotniskiem czekając swej kolejki. Oczyszczyć łękę, usunąć ciężarówki z benzyną. Mały będzie siadał na trawie.

Mija nas sznur ciężarówek przenoszących się pośpiesznie na drugą stronę lotniska. W przeciwnym kierunku pędzi sanitarka i wielki samochód-dźwig. Major R. wraca do *Flying Control*.

—Halo, Halo! tu mówi dowódca. Będziesz lądować bez podwozia, na trawie. Weź kierunek północ-wschód od *runway'u*. Wszystkie gotowe. Tylko uważaj — dorzucą — na końcu pola są trzy szeregi namiotów, żebyś nie zawadził. I pamiętaj, spokojnie.

Niebo jest zupełnie czarne. Nic nie widać, nad głowami wszystko nam huzy i szumi. Gdzieś, wśród tych samolotów, zgubiony w ciemności, w zepsutym "Spitfire" jest 21-letni chłopak, który wraca z drugiego w życiu lotu bojowego i właśnie ma lądować bez podwozia, w nocy, na nieoświetlonym polu. Spokojnie.

Daleko, bardzo daleko widać parę świateł. Odrzuwają się od kręgu innych i schodzą niżej, coraz niżej, aż wreszcie niktą przy ziemi. Wylądował. Pędzimy *jeep'em* na przelaj przez pole.

Mały, biedny "Spitfire" leży przechylony na jedno skrzydło w wyrzeźwionej w ziemi bródzcie. Wygląda prawie zupełnie nieuszkodzony. "Porządne lądowanie" — mówią mechanicy, którzy już, jak spod ziemi wyrosli, znaleźli się przy maszynie i nawet po ciemku przy niej majstrują czy coś wymontowują. — Za dwa dni będzie latać.

Północna Francja, wrzesień, 1944.

HALINA TOMASZEWSKA

Jedno jest pewne: że to nie Donkiszoci walczą z wiatrakami, że nie dla interesów grupy czy klik politycznych, leje się ta drogocenna krew Polaków. Ten żołnierz wie o co walczy i wie, do jakiej Polski chce wrócić. Niech nikt i nigdy nie stara się mu wmówić, że służy jednostkom, a nie ojczyźnie, niech nikt nie stara się go ludzić mirażami zdradzieckiej i fałszywej propagandy. Ten żołnierz jest twardy i odporny. Jak bardzo odporny, zrozumie ten, kto widział go podczas walki w dniu upadku Warszawy. Ja go widziałem w tym dniu w bitwie o Baarle-Nassau.

Może właśnie upadek Warszawy zdecydował o tym, że Baarle-Nassau, gdzie Niemcy zgromadzili olbrzymią ilość artylerii i broni przeciwpancernej — zostało zdobyte szybko, aniżeli przewidywały założenia operacyjne. W dniu tym Polacy szli w ogień z rozpaczą w sercu, ale również z nieubłaganą wściekłością w oczach. Przez zapory, pociski i pułapki, w piekle ognia — szli zdobywając teren metr po metr. Nie dla Holandii, nie dla Londynu i Waszyngtonu. Dla Warszawy, która upadła, dla Warszawy, której ta ziemia nie jest potrzebna, dla Warszawy, której oni nie mogli bronić.

Zwycięzili. Zwycięzili jak pod Falaise, jak pod Chambois, Abbeville, St. Omer, Ypres, Roulers, Thielt, Ruysselede, jak nad kanałem Hulst-Axel, jak pod Terneuzen. Jak wszędzie, kędy przeszli.

Właśnie tam, w Baarle-Nassau, widziałem scenę, której nigdy nie zapomnę.

Na kamiennej posadzce domu, wstrząsanego nieustannymi wybuchami pocisków, leżały ciała polskich żołnierzy, zabitych lub zmarłych z ran. Obok tych ciał zakwitła czerwona kałuża krwi, która jeszcze nawet nie zakrzepła.

W pewnym momencie do domu wszedł żołnierz i niebacznie stanął nogą w tej krwi. Zerwał się na to siedzący w izbie starszy sierżant, sierżant, który przed chwilą wrócił z walki, wymęczony do ostatka, z twarzą pokrytą kilkudniowym zarostem:

—Nie depcz krwi! — krzyknął.

—Otrzyj but! Nie depcz krwi! Potem wstał, wyciągnął ręcznik z chlebaka, przyniósł kubek wody, i zaczął powoli, dokładnie, zmywać krew z podłogi.

Gdy skończył swoją pracę rzucił twardym głosem przed siebie:

—Za tę krew nikt nam nie zapłaci!

Tak, za tę krew nikt nam nie zapłaci. Ani wy, czarni giełdziarze uwolnionej Europy, szwindlujący już pod giełdami uwolnionych stolic, ani wy — cierpiętnicy z wytwornych kawiarni, ani wy — zawodowi kłobocznicy, maszerujący dziś po ulicach, z piosenką na ustach. Nie zapłacicie nam za naszą krew, tak jak nie jesteście zdolni zapłacić za krew waszych współrodaków, rozstrzelanych w piwnicach Gestapo, jak nie zapłacicie za krew żadnego żołnierza Sprzymierzonej.

Bo na krew nie ma ceny.

My — Polacy — wiemy już o tym od wieków.

## WIATRAKI NASZYCH MARZEN

A teraz — zapomnijmy na chwilę, że jest wojna. Dwadzieścia kilometrów za linią frontu jest już cisza. Słońce wędruje po polach, wiatr spokojnie liczy liście na drzewach.

Siądź spokojnie pod drzewem, zapomnij na chwilę, że tam — za ciemną linią horyzontu — walczą Polacy.

Patrz — wiatrak. A tak. Przecież to Holandia...

Opodal jest wioska. Dym majestatycznie wyrasta nad kominami. Rodziny wracają z pola do domu.

Spokojnie. Szczęśliwie. To my przynieśliśmy ten spokój do wsi. To my gwarantujemy dzisiaj życie jej mieszkańcom.

Jakaś stara piosenka nagle budzi się we wspomnieniach:

"... Tak niewiele ludziom

trzeba —

Trochę szczęścia, trochę nieba..."

Mój Boże! Nam też trzeba niewiele. Był taki mały dom na polskiej ziemi, byle to słońce zaglądające do okien i pewność, że w tym domu i na ziemi możemy sami gospodarzyć, po polsku, po swojemu...!

RYSZARD KIERSNOWSKI

Redakcja "Polski Walczący", W załączeniu przesyłam sumę £10 /funtów dziesięć/ zebranych wśród pilotów Dyonu Warszawskiego na pomoc Warszawie.

Dowódca... Dyonu Myśliwskiego D.Z. kpt. pil.

Uzyskany rabat w sumie sh.15 z rozsprzedaży na terenie jednej z Polskich Eskadr Technicznych w miesiącu wrześniu "Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza", "Polski Walczący" oraz "Skrzydeł", przekazuje Postal Order'em na pomoc Warszawie.

Redakcja "Polski Walczący", Przesyłam czek na £30 na pomoc dla Warszawy, w czym: od firmy W. Filski £25 i od pracowników tej firmy £5.

POSZUKIWANIA

Kto mógłby udzielić informacji o losie ppor. Ludwika PRZEDNÓWEK, zabranego w 1939 r. z Lwowa — zechce ja łaskawie przestać sędziemu Karolowi PRZEDNÓWEK, Polish Refugee Settlement Rusape, Southern Rhodesia, South Africa.

P. FRANCISZEK WÓJCIK, syn p. Władysława Wójcika przebywającego obecnie w Montevideo, jest proszony o podanie adresu do Redakcji "Polski Walczący", która ma dla niego ważną przesyłkę.

DYNOWSKI TADEUSZ /Polish Forces, C.M.F. 104/ poszukuje brata ANTONIEGO, zamieszkałego przed wojną w Zbarażu /korpus/.

Na pomoc Warszawie: £834

Szanowny Panie Redaktorze, W załączeniu przesyłam £1 ofiarowany przez panią M. Sokółowską, Dulwich, 352 Upland Rd. na pomoc Warszawie.

Z poważaniem Stefan K. por.

Pam Redaktor "Polski Walczący", W związku z akcją zbiorową na pomoc Warszawie, żołnierze Ośrodka Wyszakolenia Bojowego Załóg Bombowych przy 18 O.T.U., składają na ręce p. Redaktora kwotę £106.4.11, z prośbą o przekazanie tej sumy Polakom Czerwonomu Krzyżowi na pomoc Rodakom osadzonym w obozie w Pruszkowie.

Składając tę kwotę, żołnierze tu. Ośrodka pragną wyrazić nie tylko swój podziw Obróncom Warszawy ale także mają nadzieję, że pociągną tym przykładem inne jednostki do poparcia akcji zbiorowej.

Komendant Ośrodka W.D. mjr. naw.

Redakcja "Polski Walczący", Zgodnie z życzeniem ofiarodawcy, przesyłam za łaskawym pośrednictwem Redakcji Money Order VJ-41848 na sumę: 5 funtów i 5 szylingów /słownie: pięć funtów i pięć szylingów/ na pomoc Warszawie.

Kwota ta została mi wręczona w dniu 11.X.44. przez Szkotkę, p. Linton z Musselburgh, w koperce z napisem:

"For the Warsaw Fund with deep sympathy," Mrs. Violet E. G. Linton, Musselburgh, Scotland.

kpt. K.M.M.

W załączeniu przesyłam British Postal Orders 828693, 828694, 828695 na £3 /słownie: trzy funty szterl./, ofiarowane przez Mrs. M. Barker, Greenock /£2/ i Mrs. MacLoughlin, Greenock /£1/ na pomoc dla Warszawy.

Of. Flagowy K-dy Morskiej "PN". J.An. por. mar.

Szanowny Panie Redaktorze, W załączeniu przesyłam czek na kwotę £1 /jeden funt/ z prośbą o przekazanie na fundusz dla cierpiącej Warszawy.

Z poważaniem J.M.

Do Redakcji "Polski Walczący", Przesyłam £3 na fundusz Pomocy Ludności Warszawy.

Z poważaniem Sheila Witalska

Dear Sir, Would you please accept enclosed postal order for sh.10 to help the people of Warsaw.

R. and V.

Redakcja "Polski Walczący", W załączeniu przesyłam money order na sumę £10 /dziesięć funtów/ z prośbą o przekazanie na fundusz pomocy ludności Warszawy.

M. i K. Płoszajscy

Szanowny Panie Redaktorze! Na skutek powstania warunków, które uniemożliwiły dalszą pomoc jeńcom — żołnierzom żandarmerii i ich rodzinom w Kraju, zostaje zlikwidowany "Fundusz Żandarmerii" a pozostałość w wysokości £172.11.10 3/4 przekazuje na pomoc dla "Pruszkowa".

Za Zarząd Funduszu Żandarmerii G. Mieczysław mjr. żand.

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £11.14.0 /jedenaście funtów, czternaście szylingów/ — sładkę oficerów i szeregowych tutejszego Oddziału z przeznaczeniem na Pomoc Warszawie, zamiast kwiatów na grób Ks. Kapelana Tomasza Samulskiego.

Komendant Kursu Doskon. Admin. Wojskowej ppłk. dypl. S.M.

Przesyłam w załączeniu przekazy pocztowe na sumę £17 /siedemnaście funtów/ zebranych przez Czołówkę Naprawową Saperów 1. Dyw. Panc. Pieniądze proszę przekazać na fundusz pomocy dla "dzieci Warszawy".

Z poważaniem W. Poklewski Koziół

Łączna suma zbiorów w dzisiejszym numerze w kwocie £372.0.9 3/4 /słownie: trzysta siedemdziesiąt dwa funty i dziewięć 3/4 pенса/ przekazałmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £834.4.0 1/2 /słownie: osiemset trzydzieści cztery funty, cztery szylingi i 1/2 pенса/.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Dear Sir, Will you please put enclosed £20 to the Polish Children's Relief Fund. I have raised this money during the past few months by making and selling toy animals; many kind friends have helped me with this effort.

Yours sincerely, Hilda Timmins /Miss/

N.N. sh.10 na biedne dzieci polskie, zamiast kwiatów na grób.

NA KAPLICĘ POLSKĄ W MONTE CASSINO

Do Redakcji "Polski Walczący" na ręce Pana Generała Ministra Obrony Narodowej. Stowarzyszenie Filatelistów Polskich w W. Brytanii ze sprzedaży 200 specjalnych kartek, wydanych ku uczczeniu świętego zwycięstwa polskiego, składa na budowę Kaplicy Polskiej na Monte Cassino £50 /pięćdziesiąt funtów/.

Za Zarząd: Dr. A. Hartman Prezes Stowarzyszenia

GENERAL SIKORSKI MEMORIAL HOSPITAL FUND

From Miss E. Hodgson, 108, Pitt Street, Edinburgh, 3. For the Sikorski Memorial Appeal sh.5.

NA P.C.K.

Kwotę sh.19 złożyli uczniowie Dywizjonu Wyszakolenia Przedwstępno Lotnictwa RAF'u z przeznaczeniem na Polski Czerwony Krzyż.

pchor. Z.

WERINAJSEK

... SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

DOPISEK

Na jednym z baraków Szkocji wieszono afisz propagandowy: "Na oszczędności Twoje czeka Rodzina i Kraj". Ktoś dopisał ołówkiem: "Oby nikt więcej" ...

W PEWNYM SZPITALU

Do siostry szpitalnej zwraca się rano lekarz: —No jak się udał dyżur? —Doskonale, wszystko w porządku, tylko czterech markierantów zmarło w nocy ...

POLICJANT-KONSERWATYSTA



—Mam cię ptaszku, zapłacisz mi za to światło! ...

NIESZCZĘŚLIWY OPTYMISTA



—Co ci się stało? —Nic! Mieliliśmy tylko dyskusję na temat zakończenia wojny. Ja twierdziłem, że wojna się zakończy za miesiąc ...

OD ZAGŁOBY DO MACZKA ... Dawniej Zagłoba sprzedawał Niderlandy — dzisiaj Maczek kupuje serca Holendrów ...

LONDYŃSKA KOPALNIA

Autora "Werinajski" zapytują rodacy: —Skąd się panu biorą takie pomysły?! Gdzie je pan wyszukuje?! —Aaa, bo ja mam "wykrywacz win" — londyńskich ...

FRASZKI FLAMANDZKIE

TO, CO NAJGORSZE

Zapytałem żołnierza: Niech powie kolega, co mu na tej wojnie najbardziej dolega? Czy brak snu? Ogień z armat, lub ogień z moździerzy?

Albo może naloty? Niemieccy "sniperzy"? Ja wiem. Wojna straszna, okrutna ma chwytli! Powiedz, co w niej najgorsze? — Odparł mi: "Biskwity!"

ZAWSZE TEN SAM

Dawniej w Szkocji zapewniał swe znajome liczne, że posiada on dobra wielkie i dziedziczne. Dziś Flamanckę uraczyć pragnie w sposób szczerzy kolekcją klów Tygrysa i skórą Pantery!

JESZCZE O WORKU

"Otwórz worek — rzekł pan szef — my się dobrze znamy! Dziś z kuchni mi zniknęły konserwowe "spamy". Ów odparł: "Worek? Nigdy! Z wojny to wynika, że Polak nie otwiera worka, lecz zamyska!"

KRAJ TULIPANÓW

Już jesteśmy w Holandii! Tylko się zastanów, jak pięknym jest krajem ten kraj tulipanów ... Jeden z mych czytelników na to się rozczuli. Do panów się nie liczy, więc go nikt nie tuli.

WODA

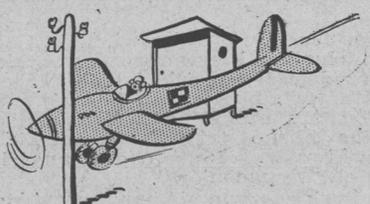
Chcąc, abyśmy za nimi zdążyli pomatu, Niemcy przed nami wodę spuszczają z kanatu. Takie oto są dla nich zgubne wojny skutki: wodą się zalewają, bo nie mają wódki!

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Coś zrobił, gdyż w Holandii pierwszym stanął mieście? Czyś najpierw odpoczynku poszukał nareszcie? Czyś jeńców wziętych liczył? lub zdobyte treny? — Odparł: "Najpierw zmieniłem franki na guldeny!"

OR-SI

PRZESTROGI DLA MŁODYCH LOTNIKÓW



... Omiń zawsze słup, chatupe, Bo inaczej stuczesz — motor ...

TAJEMNICA PRASOWA ...

—Mój panie, co to się stało, że prasa nic nie pisze o naszych spadochroniarzach w Holandii? —To celowo! Musi być zachowana tajemnica, ażeby Japończycy nie dowiedzieli się o miejscu ich lądowania ...

ZNAWCA ...

Anglik: — Wy Polacy twierdzicie, że utrzymywaliście najlepsze stosunki ze Wschodem, tymczasem ja dowiedziałem się, że stale mieliście "Targi Wschodnie" ...

AKTUALNOŚCI

—Pan wraca z Londynu? No co tam słyhać? —Pożeranie się wzajemne ... —Ale ja pytam o bomby? —Grzeczne są! ...

SPROSTOWAŁ ...

W pewnym szpitalu odwiedza rannych jakaś pani. —Pan gdzie był ranny? —Pod Monte Cassino ... —A pan? —Pod Anconą ... —A pan? —Obok Piccadilly ... —Pewnie od szczyby? —Wręcz przeciwnie — od okienicy ...

W EDINBURGHU



—To pańskie dzieci? —Tak, chcę im pokazać jak się pali światła ...

Tekst i rysunki: TONY

DO RANNYCH KOLEGÓW ZE STRAŻY GRANICZNEJ

Sekcja Straży Granicznej prosi Kolegów, przebywających w szpitalach o możliwie spieszne podanie swych adresów do: Działu Adm. Okup., Sekcja Straży Granicznej, 12/13 Grafton Street, London, W.1.

SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Przyszłość piętej kolumny. — Triarius: Przegląd tygodniowy. — Julian Ginsbert: Wojna na morzu. — Z tygodnia na tydzień. — Eugeniusz Hinterhoff: O Kampanii Wrześniowej. — Kornel Ujejski: \* \* \*. — Antoni Bogusławski: W Hotelu Danube. — Eugeniusz Romiszewski: Polscy spadochroniarze w Holandii. — Witold Domański: Marsz do Cesano. — Gen Anders: "Polsce Walczący". — Z frontu zachodniego: Ryszard Kiernowski: Wiatraki naszych marzeń. — Halina Tomaszewska: Wieczór na lotnisku. — Na pomoc Warszawy. — Na Polish Children Rescue Fund. — Na Szpital im. gen. Sikorskiego. — Na kaplicę polską w Monte Cassino. — Na P.C.K. — Tony: Werinajsek. — Or-si: Fraszkii flamandzkie. — Fotografie.

Advertisement for LINIA BELT, featuring an image of a man in a suit and text about health and posture.

Advertisement for "NAUKA OBYWATELSKA" by Prof. E. Dubanowicz, including details about the book and its price.

Advertisement for a recruitment office (WydaJe Biuro Opieki Nad Żołnierzem Min. Obr. Narod.) with contact information and terms of service.

Advertisement for "BE TALLER!" featuring an image of a man and woman and text about height-increasing products.